Nr. 36. Poznań, dnia 4. września 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Mowy cesarskie.

Jak wiadomo, były enuncyacye cesarskie nieraz powodem ostrych krytyk w prasie, a nawet parlament zajął wobec nich bardzo zdecydowane stanowisko. Pamiętamy jeszcze wszyscy rozgoryczenie, jakie wybuchło w Niemczech przed dwoma laty z powodu osobistej polityki cesarza, a ówczesne rozprawy w parlamencie nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do szczerości i intenzywności powszechnego z tego powodu rozdrażnienia.

Pod wpływem owych rozpraw, które kosztowały ks. Buelowa łaskę cesarską, opłakiwaną gorżkiemi łzami, postanowił cesarz być wstrzemięźliwym we wygłaszaniu swych sądów i osobistem angażowaniu się w sprawach politycznych. Nastał czas wielkiej w tej mierze oględności. Cesarz przemawiał odtąd bardzo krótko, a na adresy hołdownicze odpowiadał stereotypowem podziękowaniem wystrzegając się wszelkich zbytecznych dodatków.

Dopiero w Królewcu rozwiązały się ponownie usta cesarskie.

W mowie wypowiedzianej na uczcie danej na cześć prowincyi wschodnio-pruskiej akcentował cesarz, że jak poprzednicy jego na tronie pruskim z własnego prawa nakładali sobie koronę królewską na skronie, zaznaczając tem, że zawdzięczają ją tylko łasce Bożej, nie zaś uchwałom parlamentów i zgromadzeń ludowych i przeto, jako wybrane narzędzia niebios się uważając, w tym duchu wykonywali swe obowiązki monarsze, tak i on, cesarz Wilhelm II., ma się za narzędzie Boga i nie zważając na zmienne każdoczesne zapatrywania, kroczy swoją drogą skierowaną jedynie ku dobru i pokojowemu rozwojowi ojczyzny.

Ten ustęp mowy cesarskiej wielce nie podoba się liberalnym gazetom, które słusznie zresztą przypominają cesarzowi, że tak Prusy jak rzesza niemiecka są konstytucyjnemi państwami, przeto i korona musi się liczyć z wolą i zapatrywaniem narodu tj. sejmu i parlamentu.

Również nie podoba im się stanowisko, jakie cesarz zajął w sprawie kobiecej.

Wskazując na przykład królowej Ludwiki, powiedział cesarz, że główne zadania kobiety nie spoczywają w dziedzinie zebrań i stowarzyszeń, w osiągnięciu równych praw z mężczyznami, lecz w spokojnej pracy w domu i rodzinie.

Są to oczywiście słuszne słowa, lecz nie liczą się dostatecznie z realnemi stosunkami. Nie wszystkie kobiety mogą się ograniczyć na spokojnej pracy w domu i rodzinie, bo nie wszystkie posiadają dom i rodzinę, owszem, życie coraz szersze zastępy kobiet zmusza do wyrobienia sobie o własnych siłach niezależnej egzystencyi, te zaś mają inne interesy jak kobiety zamężne.

Mowa ta, jak się powiedziało, wielkie wywołała wrażenie i nie brak licznych głosów zarzucających cesarzowi, jakoby apoteozował autokratyzm i opowiedział się za wszelkiego rodzaju wstecznictwem.

Nas interesuje ta mowa głównie jako dokument charakteru i usposobienia politycznego cesarza, a jest ono na wskroś konserwatywne, owiane ową romantyką mistyczną, będącą cechą niemieckiej duchowości.

Jednakże daleko więcej zajmuje nas malborska mowa cesarza.

Znajdujemy w niej taki ustęp:

„Zgromadzeni tu jesteśmy w starym Malborgu, tym potężnym gmachu, tym znaku zewnętrznym potęgi i bogactwa wyrażającym się w Zakonie niemieckim tem wielkiem źródle, z którego kultura niemiecka rozlała się na kresy wschodnie. Uroczystą przysięgą zjednoczyli się bracia zakonni i oddali swe dzieło pod opiekę Najwyższego. Tą jednolitą zwartością Zakon dokonał rzeczy niesłychanych. To służyć nam powinno jako wzór. Krzyż na szacie jego oznacza podporządkowanie się woli nieba. Znaczy to, że niemczyzna z chrześcijaństwem stanowią całość nierozerwalną. Jaką z tego winniśmy wysnuć naukę? Oto w tem mieści się zobrazowanie słów, które wypowiedziałem świeżo w Królewcu: tak jak mój śp. dziad i jak ja, powierzyliśmy się opiece Najwyższego i przedstawiliśmy w pracy najwyższe zlecenia Pana Naszego i Boga, tak przypuszczam o każdymkolwiek uczciwym chrześcijaninie, kto w tej myśli pracuje, ten zrozumie, że krzyż ten

obowiązuje. Winniśmy się łączyć w *braterskiej miłości: wyznania i szczepy. Winniśmy każdemu szczepowi pozostawić jego odrębność i właściwości jego.* Szczepy i stany zawodowe powinny podać sobie dłonie do pracy wspólnej w celu zadośćuczynienia państwowym koniecznościom. Rolnik niechaj poda dłoń kupcowi, kupiec zaś przemysłowcowi. Członek jednej partyi niechaj poda dłoń odmiennie myślącemu, gdy idzie o stworzenie wielkich dzieł dla ojczyzny, i wyznanie jedno niechaj toleruje drugie z miłością, wówczas zbliżymy się do wzoru wielkich mężów niemieckich, którzy tu kiedyś żyli i pracowali.“

Uderza w tej mowie przedewszystkiem ustęp wzywający tak wyznania jak szczepy do braterskiej miłości oraz zaakcentowanie potrzeby pozostawienia każdemu szczepowi jego odrębności i właściwości.

Że cesarz, wypowiadając te słowa, miał na myśli Polaków, nie może ulegać wątpliwości. Po tylu mowach, w których cesarz angażował się jednostronnie na rzecz zwalczającej nas niemczyzny, a do nas Polaków zwracał się w zwrotach wielce niełaskawych i agresywnych, pokojowa i pojednawcza enuncyacya malborska dobre robi wrażenie. Możnaby z niej nawet wysnuwać wnioski daleko idące, gdyby to była pierwsza tego rodzaju mowa. Tymczasem słyszeliśmy już z ust cesarskich i łaskawe słowa, a przecież nie zmieniło to w niczem smutnego położenia naszego. Tak chwalił cesarz w telegramie do p. Kościelskiego naszą wierność i stawiał ją za przykład Niemcom, co bynajmniej nie przeszkodziło zainaugurowaniu ostrego kursu antypolskiego. Przed ośmiu laty odpierał cesarz w Poznaniu z oburzeniem zarzuty, jakoby chciano Polakom odbierać wiarę i zacierać ich właściwości szczepowe i tradycye historyczne, a przecież wzmógł się po tej mowie rozpęd antypolskiej polityki rządowej do niebywałych nigdy przedtem rozmiarów.

Po takich doświadczeniach łatwo ustrzedz się złudzeń jakichkolwiek, a niezmiernie trudno wykrzesać z siebie najniklejszą chociażby iskierkę wiary i ufności. Nie wykrzesze jej też z serc polskich malborska mowa, jeżeli nie nastąpią po niej rzetelne polityczne czyny, powtarzamy rzetelne czyny, chociażby ujawniały się tylko w umoralnieniu metod politycznych, stosowanych wobec nas. O zaniechaniu bowiem ostatecznych celów polityki antypolskiej nikt u nas nie myśli; zbyt dobrze nam wiadomo, że nie ulegną one zasadniczej zmianie prawdopodobnie nigdy.

Lecz jakże się spodziewać nawet zmiany metod, kiedy patentowani znawcy kwestyi polskiej dotychczasowe uważają za dobre i do celu wiodące. Toż przecież ucisk antypolski nie zelżał na żadnym punkcie. Ujadanie sfory hakatystycznej z dniem każdym staje się natarczywsze. Prasa hakatystyczna z niewzruszonym spokojem zapewnia, że wszelkie zmiany w polityce antypolskiej są absolutnie wykluczone. Znikąd i nigdzie żadnego znaku pomyślnego, ani cienia ulgi jakiejkolwiek. Tylko słowa, cesarskie wprawdzie, ale słowa. Przytem nie wiedzieć, co cesarz uważa za owe ochrony godne własności nasze i w jakiej formie i w jakich granicach przyznaje im racyę bytu.

Tak tedy przyjąć nam należy mowę malborską do wiadomości, jako pokwitowanie za lojalne stanowisko naszych reprezentacyj, zachowane w sprawie reformy finansów i podwyższenia apanażu monarszego. Daliśmy cesarzowi, co cesarskiego, więc i cesarz znalazł dla nas przyjazne słowa. Nie są one dla nas bynajmniej bez znaczenia. Toż lepiej, że w mowie cesarskiej brzmi nuta pokojowa, jak gdyby z niej grzmiały surmy wojenne. Nie należy tylko tego wszystkiego przeceniać.

Przyszłość nasza nie zawisła od takiego lub owakiego stanowiska korony, rządu, społeczeństwa niemieckiego wobec nas, lecz od własnej naszej wartości, od własnej pracy i dzielności, nareszcie od własnej naszej polityki, która tem lepszą będzie, im wyższa będzie nasza wartość moralna, im dzielniejszy charakter, im silniejsze podstawy materyalne.

O to nam się przedewszystkiem starać należy, bo to w naszej spoczywa mocy. Wszystko inne zostawmy Panu Bogu.

Nie zawsze pokora jest zaletą, a pycha grzechem. Bywa i przeciwnie. „Pokora niewoli“ zawsze jest grzechem, a pycha staje się wówczas zaletą. *H. Św.*

* * *

Trucizny dni młodzieńczych są jak gorzkie kwiaty —
Sami nieraz ich w naszej poszukujem czarze;
Trucizny szczere, istne, poznajemy z laty,
A niemoc, beznadziejność to są dwaj lekarze.

Kaź. Przerwa Tetmajer.

Gasnące i wschodzące gwiazdy.

W trzech częściach świata dokonują się wielkie przeobrażenia polityczne.

Podczas gdy u nas w Europie wschodzi nowa gwiazda królestwa Czarnogórskiego, w Azyi i Ameryce niezależne dotąd państwa zgięły karku przed obcą przemocą.

Korea, niegdyś samoistna potęga, później zależna od Chin, uzyskała r. 1895 po pokoju w Shimonoseki, który zakończył nieszczęśliwą dla Chin wojnę chińsko-japońską, niepodległość. Była to niepodległość bardzo problematyczna, gdyż Japończycy wszelkiemi sposobami usiłowali objąć w Korei po Chinach spuściznę. Pierwszym ku temu krokiem było barbarzyńskie zamordowanie energicznej i światłej królowej, opisane swego czasu z wszelkiemi szczegółami w „Pracy“. Krwawa ta tragedya tak przestraszyła króla koreańskiego, że uciekł z pałacu do gmachu poselstwa rosyjskiego, gdzie znalazł przytułek i opiekę, i odtąd pozostawała Korea pod wpływem rosyjskim. Rosyjski urzędnik zarządzał cłami i podatkami, rosyjscy oficerowie wodzili rej w armii koreańskiej. Japonia, której zależność Korei od Rosyi jeszcze bardziej była nie na rękę jak dawniejsze chińskie wpływy w tem państwie, zniewoliła w kwietniu r. 1898 Rosyę do zawarcia układu, w którym uznano neutralność Korei i zrzeczono się wszelkiej ingerencyi w sprawy wewnętrzne Korei. Oba państwa wszakże miały prawo utrzymywać po 1000 żołnierzy w Soeulu ku osłonie swych poselstw. Rywalizacya Rosyi i Japonii w Korei spowodowała w lutym r. 1904 wybuch wojny rosyjsko-japońskiej. Krótko potem zawarła Japonia z Koreą układ, w którym obowiązała się czuwać nad bezpieczeństwem dynastyi koreańskiej (król koreański przybrał r. 1897 tytuł cesarza) i nad niepodległością Korei. W pokoju w Portsmouth, zawartym 5 września 1905 r., zgodziła się Rosya na preponderancyę Japonii w Korei, również Anglia uznała prawa japońskie do Korei. Na tych podstawach zmusiła Japonia cesarza koreańskiego do korzystnego dla niej układu i ustabilizowała faktycznie swe panowanie w tym kraju. Gdy dwa lata później stary cesarz, sympatyzując z ruchem powstańczym, usiłował zrzucić jarzmo japońskie, Japończycy zrzucili go z tronu. Syn jego za-

trzymał wprawdzie tytuł cesarski, lecz rządy w kraju sprawowali Japończycy. Obecnie, ośmieleni traktatem z Rosyą, postanowili zupełnie wcielić Koreę do swego państwa. Może być, że przeciw aneksyi formalnej, faktyczna bowiem już dawno została dokonana, będą protestowały Stany Zjednoczone, a może nawet i Anglia. Lecz to nie zmieni w niczem położenia rzeczy. Stany Zjednoczone o Koreę wojny nie wypowiedzą, a także Anglia zaprzyjaźniona z Japonią i związana z nią traktatem do r. 1915 nie zechce żółtoskórym przyjaciołom poważniejszych robić trudności. Tak więc zniknie niebawem Korea z karty politycznej Azyi jako niepodległe państwo i będzie figurowała jako pro-



Nikita I, król Czarnogórza.

wincya japońska. Niedołężny zaś cesarz koreański zamieszka jako pensyonaryusz japoński w Tokio, podobnie jak smutnej pamięci król Stanisław Poniatowski w Petersburgu.*)

* * *

Podczas gdy to się dzieje w Azyi, Stany Zjednoczone rozszerzają swe wpływy w Ameryce Środkowej.

Jak wiadomo istnieje tam pięć republik zamieszkałych zaledwie w dziesiątej części przez białych, reszta mniejwięcej 4 milionowej ludności centralnoamerykańskiej składa się z kreolów, mulatów, murzynów, ladinosów, zambosów tudzież indyan. Kraj ten uwolnił się z pod trzywiekowego panowania hiszpańskiego i proklamował 15 września 1821 roku swą niepodległość. Dwa lata później ogłosiły się państwa środkowo-amerykańskie jako republika zjednoczonych stanów Środkowej Ameryki. Rychło jednak wybuchły zacięte walki pomiędzy partyą arystokratyczną i demokratami, przyłączyły się wojny szczepowe i rasowe, dość że r. 1839 unia rozpadła się, a tworzące ją stany: Guatemala, Salvador, Honduras, Nikaragua i Costa Rica ukonstytuowały się jako samodzielne republiki. Odtąd nie brakło nowych prób wskrzeszenia unii centralno-amerykańskiej, lecz nie przyniosły one zamierzonych rezultatów. Ciągłe zaś walki domowe i wojny pomiędzy republikami dawały Stanom Zjednoczonym Północnej Ameryki sposobność mieszania się do spraw państw środkowoamerykańskich, tembardziej, że we Waszyngtonie chętnie widzianoby, żeby owe republiki przyłączyły się do Unii północno-amerykańskiej. Wobec tego patrzą Amerykanie z Unii bardzo niełaskawem okiem na próby stworzenia unii centralno-amerykańskiej. Jeszcze pilniejszą uwagę zwrócili w stronę owych republik od czasu budowy kanału panamskiego, na którym koniecznie pragną położyć rękę.

Jeszcze rok temu był prezydentem Nikaragui, kraju trzy razy tak dużego jak Bawarya, lecz liczącego tylko około pół miliona mieszkańców, Zelaya. Cieszył się on zaufaniem obywateli, lecz nie podobał się z różnych względów Amerykanom z Unii, był bowiem przeciwnikiem wpływów amerykańskich w centralnej Ameryce, a nawet zwolennikiem osobnej unii środkowoamerykańskich państw. Aby się pozbyć Zelayi i uzyskać wpływy w Nikaragui, najęli sobie Amerykanie niejakiego Estradę, głośnego awanturnika i kondotiera, gotowego za pieniądze do wszelakich posług, chociażby ze szkodą własnej ojczyzny, i polecili mu podbój kraju. Estrada zajął tedy portowe miasto nikaraguaskie Bluefields, leżące nad Atlantykiem, Stany Zjednoczone zaś nadsyłały mu tam co tydzień pieniądze, amunicyę, ochotników, a nawet stwierdzono, że amerykańskie wojska marynarkowe walczyły pod znakami Estrady. Tak posuwał się Estrada w głąb kraju. Nareszcie musiał Zelaya złożyć urząd prezydenta. Miejsce jego zajął Dr. Madriz. Początkowo nie robiły mu Stany Zjednoczone trudności, gdy się jednak pokazało, że i on pracuje nad przywróceniem unii centralnoamerykańskich państw, otrzymał Estrada rozkaz podjąć na nowo operacye wojenne. Obecnie zajął Estrada stołeczne miasto nikaraguaskie Managua i rządzi tamże jak dyktator. Znawcy stosunków utrzymują, że pod rządami Estrady stanie się Nikaragua czemś w rodzaju lennego państwa Stanów Zjednoczonych, a nie brak w prasie amerykańskiej głosów domagających się aneksyi Nikaragui. Zalecają zaś aneksyę z powodu geograficznego położenia Nikaragui w pobliżu kanału panamskiego, nad którymby rzekomo Nikaragua zapanowała.

Jak wiadomo powołują się Amerykanie stale na t. zw. doktrynę Monroe‘a, sformułowaną przez piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych, a uważaną za zasadę bezwzględnie obowięzującą. Streszcza się ona w haśle: Ameryka dla Amerykanów i oświadcza, że Stany Zjednoczone uważać muszą każdy zamiar państw pozaamerykańskich skierowany ku rozszerzeniu swych wpływów w Ameryce oraz każde ich wmieszanie się do spraw któregokolwiek państwa amerykańskiego za akt nieprzyjazny wobec Stanów Zjednoczonych. Doktryna ta miała chronić pań-



Milena Vukoticewna, żona króla czarnogórskiego Nikity I.

stwa nie objęte Unią przed zaborczemi apetytami Europy. Tymczasem historya wykazuje, że nie od Europy, lecz właśnie od Stanów Zjednoczonych grozi im niebezpieczeństwo. Nie dziw więc, że panamerykański kongres w Buenos Ayres odrzucił wniosek Stanów Zjednoczonych, usiłujących doktrynę Monroe‘a podnieść do zasady, obowięzującej wszystkie amerykańskie republiki bez wyjątku.

* * *

Na koniec rzućmy okiem na Czarnogórę, której stolica Cetynia była zeszłej niedzieli widownią wspaniałych uroczystości z powodu 50 rocznicy objęcia rządów przez księcia Nikitę Petrowicza Niegosza, obecnie wyniesionego do godności królewskiej Nikity I.

Obecne Czarnogórze, 160 mil kwadratowych skalistej ziemi z ćwierć milionem mieszkańców, jest tylko małą cząstką dawniejszej Serbii Duszanów z 14-go i Brankowiczów z 15-go wieku, która zajmowała całą północną połać półwyspu bałkańskiego. Dziś panują nad Serbami Habsburgowie w

*) Sprawa ta już się stała dokonanym faktem historycznym: aneksya Korei została publicznie ogłoszoną. Nowa prowincya japońska nazywać się będzie Cho-Sen.

Austro-Węgrzech, Karadżordżowie w Serbii, Niegosze w Czarnogórze, a spora część w Macedonii pozostaje pod berłem tureckiem.

Ze wszystkich krajów serbskich jedynie Czarnogórze nigdy naprawdę nie traciło swej niezależności. Całe armie Turków w ciągu długich wieków rozbijały się o nieprzystępne grzbiety Czarnogórza. Turcya nominalnie panowała nad niem, faktycznie zaś Czarnogórzem rządzili „władykowie“, t. j. arcybiskupi, łączący w ręku swem władzę zarówno duchowną jak świecką. Patryarchami takimi, kierującymi losami Czarnogórza, byli arcybiskupi, pochodzący z rodu Niegoszów. Pierwszym z Niegoszów, który wystąpił ze stanu duchownego i nazwał się księciem, był Daniło Niegosz, ucierający się zwycięsko z Turkami w okresie przed i wśród wojny krymskiej (1852—1854). Panował lat 9. Zginął od zdradzieckiej kuli podczas spaceru w poblizkiem Cattaro dalmatyńskiem. Tron po nim objął w r. 1860 bratanek, teraźniejszy Nikita I. Dziewiętnastoletni naówczas książe, wychowany w Paryżu, wybitny poeta serbski, ożeniony z wojewody Wukoticza czternastoletnią córką Mileną, zdołał z biegiem czasu pozyskać względy Rosyi i wyzyskać dla swego księstwa i dla swej dynastyi sytuacyę korzystną. Opiekowali się nim bezinteresownie niemal monarchowie rosyjscy, oszczędzali go monarchowie austryaccy, nie darzyli go swą łaskawością jednak padyszachowie tureccy. Umiał wejść w sfery monarchów nieskończenie więcej znaczących od niego. Wszakże i car Aleksander III. zaszczycił go tytułem najserdeczniejszego przyjaciela Rosyi. Rosya stale poczynając od Piotra Wielkiego, chcąc mieć pewnego sojusznika, małego, ale niezwyciężonego, któryby Turcyę szachował z boku, subwencyonowała Czarnogórze i jej władyków książąt.

Obecnie kilkadziesiąt tysięcy rubli wynosi ta subwencya. Austrya, nie chcąc pozostać w tyle, również wyświadczyła dobrodziejstwo Czarnogórzu w postaci doskonałych dróg bitych, po których dziś można całe księstwo wygodnie wzdłuż i wszerz przejechać w ciągu czterech dni.

Mądry ks. Nikita potrafił sobie nietylko zapewnić przyjaźń potężnych, lecz nawet wejść z nimi w stosunki pokrewieństwa. Dwie jego córki są w tej chwili małżonkami Wielkich książąt rosyjskich, jedna wyszła za mąż za księcia Battenberskiego, inna, Helena, została królową włoską. Następca tronu, najstarszy syn Daniło, ożenił się z meklemburską księżniczką Juttą. Tak tedy ks. Nikita spokrewnił się z najpierwszemi rodzinami panujących europejskich.

W kraju samym rządził jak mądry gospodarz, starając się o dobrobyt swych poddanych, a gdy po wojnie rosyjsko-japońskiej z powodu wprowadzenia konstytucyi w Rosyi ogarnęła świat gorączka konstytucyjna, nie pozostał władca Czarnogórza w tyle za innymi. I on nadał swemu kraikowi 1905 konstytucyę, dzięki której kraj rozwija się prawidłowo. To też zwracają się dzisiaj oczy narodu serbskiego na nowego króla serbskiej narodowości z nadzieją, że to, czego nie dokonali Obrenowicze i Karadżordżowie, dokona, jeżeli nie on sam, to potomek z krwi Niegoszów. A wielkim tym celem jest połączenie wszystkich krajów serbskich pod jednem berłem.

Przegląd rolniczy.

Sierpień, to miesiąc dojrzałości w naturze. W sierpniu dochodzą rośliny do największej dojrzałości i doskonałości. Bardzo wiele roślin posiada w sierpniu zdolność do samodzielnych ruchów, wprowadzających w zadumę fizyologa. Dojrzały korbal poddaje swe liście pod działanie promieni słonecznych. Podnosi on rano zachodnie listki, w południe północne a wieczorem wschodnie listki, aby jaknajdłużej używać słońca. Udaje mu się też sztuka. Otóż manipulacyą tą wydobywa on wszelkie listki z cieni, o jakiejkolwiek godzinie dnia. W sierpniu różne kwiaty otwierają rano swe kielichy a zamykają wieczorem o zachodzie słońca, skoro chłód nastaje.

Dokładny obserwator spostrzeże u roślin naszych różne samodzielne ruchy i oczywiście staje przed zagadką, czy to gra nerwów, pochodzących z jakiego centra czy mózgu czy instynkt, który przyznajemy zwierzętom? Trudna na to odpowiedź, jedynie można przytoczyć, że prof. botaniki z Wrocławia Ferdynand Cohn wykazał, że są rośliny, które zarazem do świata zwierzęcego zaliczyć trzeba. Otóż najniższe organizmy w świecie bakteryj należą do świata roślinnego i zarazem zwierzęcego, i to z tej naturalnej przyczyny, że niema ścisłych granic pomiędzy światem zwierzęcym a roślinnym w najniższych pierwiastkach, do których bakterye należą.

Ponieważ więc granic niema pomiędzy florą a fauną, można przypuszczać, że i rośliny niektóre mają nerwy czułe i świadome, przeznaczone do spełniania osobnych funkcyj.

Jeżeli mają nerwy, to też mają ból, rozumowałby niejeden; tak daleko jednak nie można zachodzić w tym kalejdoskopie zagadek, ponieważ życie niektórych zwierząt, a mianowicie owadów, pozbawione jest wszelkiego bólu.

Francuz Fabre zajmujący się owadami, opisuje życie pająka mantis religiosa. Samiczka mantis pożera podczas aktu małżeńskiego samca. Kochanek z użartą głową i częścią górną tułowia nie przeszkadza sobie w swej robocie, dopiero gdy łakoma samiczka do połowy go pożarła, odpada samiec bez życia. Fabre obserwował aż 7 samców, tak niemiłosiernie przez samiczkę w przeciągu dwóch tygodni pożartych. Czy można więc przypuszczać jakiś ból u tego gatunku pająków?

Miesiąc sierpień, to miesiąc śmierci. W sierpniu widać zboże pocięte na pniu lub widać ścierniska, świadczące o tem, że niedawno się tu dramat z kosą odbył. W sierpniu przyspasabiają się niektóre rośliny i niektóre zwierzęta na śmierć. Otóż rośliny, które zimy nie przetrzymają, przygotowują osobne komórki zarodne, z których wiosną nowa roślinka wyrośnie, skoro matki już nie będzie. Również robaki najróżniejsze niosą jajka w miejsce bezpieczne, aby ożyły na nowo w przyszłem pokoleniu, skoro ich samych nie stanie. Dbały rolnik natomiast nie podziela sentymentów robactwa, lecz stara się mu życie uprzykrzyć. Z całą rafineryą i rozmysłem zasiewa rychło paski żyta, aby w nie zwalić muchy heskie, cykady karłowate i je razem ze szkodliwym zarodem głęboko przyorać. Jedyna to rada może przeciw muchom heskim, które się w ostatnich latach rozpowszechniły w Księstwie, gdyż skopywanie miedz i rowów nie wiele pomaga a przytem w wykonaniu jest drogie. Jednakże nie można sobie lekceważyć plagi robactwa i różne możliwe środki używać do wytępienia. Podorywki wszelkie także się przyczyniają do wytępienia robactwa, przytem odgrywają w uprawie roli pierwszorzędną rolę. Podorywką tępimy chwasty i perze, a przytem, co najważniejsze, dodajemy ziemi naszej życia.

Otóż w tej ziemi żyją tysiące różnych pożytecznych i szkodliwych owadów a oprócz nich miliardy przeróżnych bakteryj. Bakterye te rozdzielić można na najróżniejsze gatunki. Jedne

rozkładają ciała martwe to jest pozostałe resztki roślin i zwierząt, przysparzają tem samem ziemi potrzebnego humusu, drugie bogacą ziemię w azot, ściągając go z powietrza, wreszcie trzecie żyją na koszt pożytecznych bakteryj, czepiają się ich ciała, i wypijają z niego wszelkie soki. To też pod ziemią wre taka sama walka o byt jak na ziemi.

Gospodarz naturalnie bierze udział w tej walce, chociaż często bezwiednie i to z większym lub z mniejszym skutkiem. Charakterystyczne bowiem jest, że racyonalna uprawa ziemi wspiera bakterye pożyteczne, które się w sprawnej ziemi tem lepiej rozwijają. Racyonalną uprawą staramy się bowiem o stałe przewietrzanie ziemi; skoro skorupa na ziemi po deszczu się utworzy, trzeba ją skruszyć, gdyż przez skorupę taką trudno powietrzu przechodzić. Tak samo zluźnienie ziemi nie jest mniej ważnem, zrozumiałe jest bowiem, że przez wzruszoną ziemię łatwiej powietrze się przedostanie jak przez ziemię twardą. Wreszcie po zoraniu i zbronowaniu zostawiamy ziemię w spokoju, gdyż wtedy ona odpoczywa a wewnątrz fermentuje i staje się „sprawną“. Tymczasem bakterye pożyteczne lubią w ziemi powietrze i lubią odleżałą ziemię, w której się w dwójnasób mnożą i rozpowszechniają. Skoro warunki dogodne znajdą, nie zaszkodzą im wiele nieprzyjaciele spokrewnionych plemion i w rezultacie ziemia bogaci się w azot, zgniłe części zamieniają się na pokarm dla roślin a rolnik może się spodziewać dobrego żniwa.

Główna działalność bakteryj odbywa się w sierpniu, obecnie one najsilniejsze a życie ich ustaje na zimę, skoro zaskorupione szukają snu zimowego, podobnego u nich do martwoty.

Naturalnie życie bakteryj jest bardzo krótkie, pojedyńczy mikrob żyje zaledwie pół godziny, lecz po pół godzinie umierając, czyli dzieląc się na dwie części, daje życie dwom nowym istotom. Po pierwszej półgodzinie pozostają 2 żyjątka, po drugiej 4, po trzeciej 8, po czwartej 16, po piątej 32. Po 12 godzinach mamy zatem już 16 777 216 żyjątek, a po 24 godzinach zatem 281 474 976 710 565 żyjątek.

Żyjątka te to pomocnicy lub szkodnicy gospodarza, a dziwne to tembardziej, że żyjątka takie składają się jakoby tylko z brzucha. Żyjątko żywi się za pomocą nasiąkania i tą samą drogą strawiony pokarm oddaje. Badania bakteryologiczne coraz dalsze otwierają widnokręgi rolnictwu. Kiedy dotychczas żyło rolnictwo pod znakiem chemii i od inteligentnego gospodarza żądano znajomości praw chemii i fizyki, to może nastanie czas, że od rolnika wymagać się będzie znajomości bakteryologii.

Ciekawa to nauka zresztą, która widzi w kropli wody całe światy, tak potężne dla swych mieszkańców i tak przepełnione bólem, walką i rozkoszą jak glob nasz, na którym żyjemy. Coraz nowe otwiera nam widnokręgi bakteryologia i ożywia każdy pyłek na naszej ziemi, nowego jednak nam nic nie daje, gdyż tak tu jak tam walka o byt, a w piersiach wszelkich stworów zarodek śmierci.

Rusticanus.

Wiadomości.

— **Tylko stałą i wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.**

— **Przy grach i zabawach, przy uroczystościach publicznych i rodzinnych, podczas zebrań towarzyskich — wszędzie i zawsze pamiętajmy o składkach, choćby groszowych, na Dar Grunwaldzki dla Towarzystwa Czytelni ludowej.**

— **Wiec wyborczy w Żninie** odbędzie się w niedzielę, dnia 4-go września b. r. po południu o godz. 4-tej na sali p. Bukowskiego dla Żnina i okolicy z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie i wybór ławników,
2. Przemówienie ks. proboszcza Kurzawskiego z Pakości,
3. Przemówienie p. redaktora Łebińskiego z Poznania,
4. Wolne głosy,
5. Zbieranie składek,
6. Zamknięcie wiecą.

O liczny udział uprasza

Komitet powiatowy.

— **Pani Dr. Parczewska i pan Dr. Parczewski** wrócili z podróży i przyjmują w zwykłych godzinach przy ulicy Berlińskiej nr. 1.

— **Cel dobroczynny!** Towarzystwo Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo parafii archikatedralnej urządza dnia 18 września zabawę latową w znanym ogrodzie p. Świderskiego na Wzgórzu św. Łazarza. Początek koncertu o godzinie 3 po południu. Program: gra fantowa, strzelanie i kulanie do kręgli dla pań i panów o premie. Tańce rozpoczną się o 7 na sali. Wstęp od osoby 30 fen., dzieci niżej lat 14 w towarzystwie starszych mają wstęp wolny.

Osoby życzliwe Towarzystwu uprzejmie zaprasza **Zarząd.**

— **Znaczenie firmy sądownie zapisanej w rejestrze handlowym.** Liczni kupcy zapisując swe firmy do rejestru handlowego, nie zdają sobie sprawy z tego, jakie biorą na siebie obowiązki i co przez to zyskują. Właściciel firmy sądownie zapisanej, nie tylko że sam prowadzić ją może, lecz ma prawo sprzedać takową wraz z interesem. Firma sama dla siebie ma często wielką wartość. Firma niezapisana, ze śmiercią właściciela z interesem sprzedaną być nie może, nowonabywca zmuszony jest prowadzić interes pod swojem nazwiskiem. Właściciel firmy sądownie zapisanej ma tę korzyść, że może liczyć 5 proc. od wszelkich płatnych rachunków dłużnikom swym, począwszy od dnia płatności, nawet bez poprzedniego monitowania ich, może także zostać członkiem izby handlowej. Obowiązkiem właściciela firmy sądownie zapisanej jest: poprawne prowadzenie wszystkich książek handlowych, (rodzaj tychże i książkowości jest dowolny) zachowanie odebranych i kopij wysłanych korespondencyj z lat 10-ciu, i urządzenie inwentury najmniej raz do roku. Towary, długi, pretensye, gotówka w interesie i bankach, urządzenie, maszyny i t. p., z których wartość ogólna interesu wynika, winny być policzone w inwenturze. Skoro właściciel firmy sądownie zapisanej gwarantował za kogoś, z chwilą gdy główny dłużnik niepłaci, można od właściciela firmy zapisanej sądownie, bez poprzedniego wyskarzenia pretensyi, żądać natychmiastowego uregulowania sumy, za którą przyjął odpowiedzialność, podczas gdy właściciela interesu handlowego, który nie jest kupcem zapisanym do rejestru handlowego, dopiero wtenczas pociąga się do odpowiedzialności, gdy główny dłużnik został zaskarżony i skarga nie osięgła celu.

— **Chleb dla swoich.** Dziesiąte ogłoszenie „Straży“ z dnia 27-go sierpnia 1910 roku. Następujący rodacy posiadający kapitał zakładowy, znajdą dobre utrzymanie: kupiec towar. kolon. z wyszynk. kupiec cygar i papierosów z kamienicą. Kupiec żelaza, kupiec bławat. i garderoby, kupiec tow. krók, hotel, piekarz, rzeźnik, fryzyer, zegarmistrz, fotograf, lekarze, adwokaci.

Do nabycia: Interes kolonialny, win i delikatesów, kamienica z handlem kolonialnym, destylacya, „Bazar“ towarów bławat. i garderoby. Dom towarowy na wielkiej wsi w Prusach Zach. Oberża ze salą na wsi kościel. Interes materjał. budowl. Dom tow. z drogeryą na wsi kościel. Browar i Hotel z wyszynkiem, dobry interes. Hotel przebud. według nowoczesn. wymagań. 10 pokoi gość. sala, można cukiernią założyć, bardzo jest pożąd., w powiat. mieście. Dom z drukarnią, księg., skład papieru i zabawek. Fabryka i skład maszyn róln. 40 lat w jednych rękach Prusy Zach. Cukiernia z restauracyą. Skład kapeluszy. Dom w mieście stósow. dla fotograf. lub dewocyonalij. Wiatraki z domem i rolą. Wodny młyn. Dwie kamienice w powiat. mieście. Dom na wsi dla rzeźnika. Dom z kuźnią. Zakład fotograf. Młyn z tartak. i rolą w mieście powiatowem. Wspólnik do fabryki pończoch i wyrob. wełn. z 3—5000 mk. Skład żelaza. Dom z piekarnią. Majątek ziem. 2700 mórg, folwark 700 mórg Prusy Zach. Równocześnie prosimy szan. księży, Towarzystwa przem. i kupiec. oraz osoby zaufane — potrzeba w tym przypadku trzech podpisów — o podanie miejscowości, gdzieby mogli otworzyć interes kolon. z piekarnią na wsi, interes kolon. z łokciow. na wsi. Skład cygar i papierosów w mieście, interes bławat na wsi, interes dewocyjny z księgarnią, piekarnia na wsi kościel. Warsztat i skład obuwia, stelmach na wsi, stolarz na mał. mieście lub na wsi, siodlarz, malarz na prowincyi, fryzyer na mał. mieście lub na wsi kościel., garncarz, tapicer, dekor., kupna lub dzierżaw. domu z ogrod. i rolą, dzierżawy gościńca, konduktor tramwajowy wydalony prosi o zajęcie.

Bliższych informacyj udzieli biuro „Stra-

ży“. Adres: Dr. Franciszek Schroeder Poznań ulica Rycerska 12, telefon 1640. Prosimy o 20 fenyg. w znaczkach poczt. na odpowiedź.

Z rąk obcych w Prusach Zachodnich korzystnie do nabycia gospodarstwa, folwarki od 100—1000 mórg. Informacyą służy starosta „Straży“ pan Bolesław Bardzki, Hermansruhe W. Pr.

— **Września.** W poniedziałek, dnia 22-go z. m. przed południem około godziny 11 jechała następczyni tronu z swem otoczeniem przez Wrześnię, udając się z Poznania do Gniezna, aby tamże zwiedzić w imieniu cesarzowej, protektorki tamtejszego domu chorych Betesdy, rzeczony zakład. Cesarskie automobile zatrzymały się około 5 minut nad szosą gnieźnieńską w bliskości cmentarza katolickiego. W tym czasie żona urzędnika celnego p. Kaczmarka następczyni tronu podała różę z swego ogrodu, znajdującego się tuż przy cmentarzu w bezpośredniej bliskości grobu poległych braci naszych w bitwie pod Sokołowem w r. 1848.

Czytelnik „Pracy.“

— **Pogadanki dla matek** w sprawie wychowywania dzieci rozpoczynają się we wrześniu i odtąd stale co miesiąc odbywać się będą. Mamy nadzieję, że pogadanki i w tym roku pomyślnie rozwijać się będą a liczba słuchaczek jeszcze wzrośnie, tem więcej, że Komitet przygotowuje szereg ciekawych i urozmaiconych wykładów, nie szczędząc trudu i pracy.

Na pierwszej pogadance dnia 11. września w Domu Katolickim o godz. 5. po poł. będzie mówić p. Zofia Rzepecka „O podstawach dobrego wychowania dzieci“.

Szanowne matki prosimy o liczne i wczesne przybycie, zaznaczając, że bez względu na liczbę osób pogadanka rozpocznie się punktualnie o godz. 5-tej.

Komitet.

— **Z miasta.** Zebranie Stronnictwa Ludowego odbyło się przy licznym udziale członków w niedzielę, dnia 28 zm.; przewodniczył mu prezes p. Dobry. Głównym mówcą był p. T. Szramkiewicz, który w półgodzinnem przemówieniu przedstawił zebranym historyą walki Germanów z Słowianami, historyą Krzyżaków i ostateczną ich klęskę pod Grunwaldem.

W dyskusyi nad tym referatem przemawiali pp. Dolacki, Habel i Kaczmarek, omawiając stosunek Krzyżaków do Polski i obecny stosunek królestwa pruskiego do Polaków.

Pogląd na ostatnie uroczystości niemieckie w Poznaniu dał p. Habel i podniósł, że Polacy podczas tych uroczystości potrafili zachować swą godność narodową tak, że policyanci z Berlina i Wrocławia byli w Poznaniu zupełnie zbyteczni.

Na życzenie zebranych odczytał p. prezes dochody poszczególnych monarchów europejskich. W czasie zebrania przystąpiło kilku nowych członków.

Pod koniec gani p. prezes pewne pismo poznańskie, które zamieściło o nim bez zasięgnięcia informacyj nieprawdziwą wiadomość. Gdzie jest uczciwość dziennikarska?

Po dwugodzinnych obradach zamknął p. prezes zebranie słowami „Szczęść Boże!“ naszej pracy.

— **Koźmin.** Dnia 28-go sierpnia r. b. odbyła się z łona Koła Śpiewackiego w Koźminie zabawa latowa w ogrodzie p. Karasiewicza przy licznym udziale publiczności, duchowieństwa jako i gości z okolicy i miasta Kalisza. O godzinie 4-tej nastąpił wymarsz do ogrodu p. Karasiewicza. Popisy śpiewu pod batutą dyrygenta p. Gwizdały wypadły nadspodziewanie; później nastąpiły tańce na sali, gdzie się przy pięknej harmonij do rana ochoczo bawiono. Szanowne Duchowieństwo miejscowe i okoliczne dopisało, za co niech mu będzie serdeczna podzięka.

H. H.

— **Z Brukseli** donoszą nam, że wielki pożar, który spustoszył na tamtejszej wystawie wiele pawilonów, wcale nie uszkodził dwóch w różnych stronach osobno wystawionych pawilonów Towarzystwa Liebiga, mieszczących w sobie okazy słynnego ekstraktu mięsnego. Pawilony te ocalały zupełnie. Towarzystwo wzmiankowane otrzyma dwa wielkie medale (grand prix) jako najwyższą nagrodę, która dostanie się w udziale tylko małej liczbie wystawców.

— **New. York.** Z Polskiego Domu Emigracyjnego św. Józefa. New York. Donosi się niniejszem interesowanym, że urzędowy adres Domu jest następujący: „Polski Dom Emigracyjny św. Józefa. 117 Broad St. New York City.“

Listy odbierane pod powyższym adresem mają zawsze pierwszeństwo w odpowiedzi i załatwianiu polecanych nam spraw. Natomiast listy przesyłane pod imiennym adresem zarządcy lub kogokolwiek z personału domowego uważane jako korespondencya prywatna są pozostawiane do swobodniejszej chwili adresanta, gdy tymczasem jedna chwila zwłoki może spowodować niepowetowaną szkodę dla udającego się do nas o pomoc lub pośrednictwo. Zresztą, nikt nie jest wiecznym na stanowisku, ztąd przy zmianie urzędnika mogą zajść nieregularności poważnego znaczenia ze szkodą dla dobra ogółu.

Zarząd Domu św. Józefa.

Nekrologia.

† **Ś. p. Józefa z Małeckich Złotowiczowa** z Wrześni, dnia 21-go z. m. w lazarecie gnieźnieńskim, mając lat 59. Pogrzeb odbył się we Wrześni dnia 24-go z. m. — **Ś. p. z Jasińskich Maryanna Żylczyk,** dnia 23-go z. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 62. — **Ś. p. Antoni Elix,** dnia 25-go z. m. w Poznaniu w 29-ym roku życia. — **Ś. p. Piotr Kopeć,** dnia 25-go z. m. w Turzanach. Pogrzeb odbył się dnia 28-go z. m. w Inowrocławiu. — **Ś. p. Marya Jonas,** urodzona w Wielkopolsce w roku 1866, dnia 15-go z. m. na Śląsku. — **Ś. p. Róża z Hoppów Malinowska,** dnia 26-go z. m. w Ostrowieczku, przeżywszy lat 84. Pogrzeb odbył się w Dolsku dnia 29-go z. m. — **Ś. p. Walerya Meller z domu Jóźwiak,** dnia 24-go z. m. w Baranowie, przeżywszy lat 24. Pogrzeb odbył się dnia 29-go z. m. w Pawłowie. — **Ś. p. Jan Michalak,** dnia 24-go z. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 26. — **Ś. p. Nepomucena Szymankiewicz,** dnia 24-go z. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 76. — **Ś. p. Julian Sampławski,** dnia 27-go z. m. w Janowie w 72-im roku życia. Pogrzeb odbył się w Koronowie dnia 31-go z. m. — **Ś. p. Józefa Winiarska,** dnia 27-go z. m. w Toruniu w 59-ym roku życia. — **Ś. p. Józefa Fabisz,** dnia 26-go z. m. w Poznaniu w 47-ym roku życia. — R. i. p.

Nowe książki i treść pism.

— **Broszury Grunwaldzkie, obrazy świetlne.** Sekcya kulturalna „Straży“ zawiadamia, że nakładem jej ukazały się w księgarniach dwie broszury, a mianowicie „Grunwald“ oraz „W pięćsetną rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem.“ Aby umożliwić nabycie tychże broszur każdemu, ustanowiono cenę tylko po pięć fenygów za egzemplarz. Księgarnie, Towarzystwa oraz osoby prywatne, pragnące nabyć co najmniej 50 egzemplarzy, otrzymają takowe za zniżoną cenę w biurze „Straży“.

Obrazy świetlne wypożycza sekcya kulturalna „Straży“ po 10 mk. za seryę, składająca się z 50 obrazów. Wyczerpujący wykład do tychże kosztuje 1 markę.

Biuro „Straży“.
Dr. F. Schroeder,
Poznań, ul. Rycerska 12.

Od Redakcyi.

— **Pani M. K. w N.** — 1) Należy się udać po informacye w tej sprawie do Wielebnego Rządcy Probostwa w Miejskiej Górce (Goerchen i. Posen). 2) Książki wiadome nabyć Szan. Pani może w księgarniach w Poznaniu. Oto adresy: Księgarnia św. Wojciecha, św. Marcin 69, Chrzanowski Wilhelmowska ulica 17, A. Cybulski, św. Marcin 9—10, Księgarnia katolicka, ulica Jezuicka 5, Leitgeber J. ulica Wilhelmowska 18, Rzepecki i Ska, Piekary 7, Templowicz, ulica Wilhelmowska 13, W. Niemierkiewicz plac Wilhelmowski.

— **Panu M. K. na prowincyi.** — Jest to sprawa czysto osobista, prywatna, więc nie zamieścimy.

— **Panu Antoniemu D. na obczyźnie.** — Dzieci szkolnych do przedstawień teatralnych używać nie wolno.

— **Panu Michałowi B. w N. na Górnym Śląsku.** — W tej sprawie Szan. Panu nic poradzić nie możemy, bo i u nas, jak wszędzie, jest wielu ludzi bez pracy.

— **Pani Bercie B. z R. na Górnym Śląsku.** —1) Serdecznie dziękujemy za miłe pozdrowienie nadesłane na ładnej pocztówce ze Zlotu VIII. okręgu Sokołów. 2) Życzonej książki nie posiadamy wogóle na składzie.

— **„Waryszowi“ w Krakowie.** — Wierszy nadesłanych nie zamieścimy, gdyż już na czas długi zaopatrzeni jesteśmy w utwory wierszowane.

Niepojęte,
Polskich niewiast
Serca święte!
Czy wieśniaczki,
Czy królowe,
One zawsze
Jednakowe,
W możnym zamku,
W kurnej chacie,
W równym chodzą
Majestacie,
Czy w płótniance,
Czy w koronie,
Zawsze każda
Zorzą płonie;
Zawsze słodko
Uśmiechnięte,
Polskich niewiast
Serca święte.

Or—ot.

VIII. Polska po pierwszym rozbiorze.



W pierwszym rozbiorze Rosya zabrała województwa białoruskie, Austrya ziemie Małopolski między Karpatami a Wisłą i Zbruczem, wreszcie Prusy ujście Wisły i kraj nad Notecią. Razem straciła Polska przeszło 200 tys. klm i 4 miliony ludności i to wszystko zabrano nam bez oporu, bez jednego wystrzału...

Ten pierwszy rozbiór otworzył wszystkim oczy, zaczęto myśleć o reformach, ale zawsze stały na przeszkodzie Rosya i Prusy, Wreszcie gdy Rosya zaplątała się w wojnę z Turcyą Polska korzystając z tego wydała „Konstytucyę 3 Maja“. Nim jednak naród zdążył się zorganizować, spadła na kraj Targowica, spadł na kraj drugi i trzeci rozbiór i państwo przestało istnieć (1795 r.).

Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

A. XIII.

Jakie miejsca klimatyczne i wodolecznicze znane są w Polsce?

Znane są już w szerokich kołach publiczności polskiej okolice tatrzańskie, które rokrocznie ściągają tysiące turystów i nęcą wielu do dłuższego pobytu w górskiem powietrzu. Choć Zakopane nie słynie jako miejscowość wodolecznicza w ścisłem tego słowa znaczeniu, gdyż nie wykazuje specyalnie zdrowotnych wód kąpielowych, zasługuje jednak w zupełności na to, aby przy opisie klimatycznych zdrojowisk było wymienionem na pierwszem miejscu jako najliczniej odwiedzana miejscowość kuracyjna, której sezon trwa bez przerwy latem i zimą i jest dziś prawdziwem „rendez-vous“ całej Polski. Niedaleko tej perły naszej klimatycznej, Zakopanego i Tatr, napotykamy w podgórzu karpackiem lub u jego podnóża cały szereg innych miejscowości, słynących już daleko po za Galicyą jako uzdrojowiska i cieszących się na całą Polskę słusznie taką sławą, że przy nieco większym patryotyźmie naszym dawno byłyby u nas pobiły wszystkie „bady“ obce, specyalnie niemieckie. Nadewszystko więc w bliskości Pienin i słynnego owego przełomu Dunajca, którego krajobrazy do najromantyczniejszych w Polsce należą, znajdują się trzy słynne z swych wód leczniczych miejscowości, posiadające wspaniałe zakłady kąpielowe: Szczawnica, Krynica i Żegiestów.

Wody źródeł tamtejszych są to przeważnie t. zw. szczawy słono-alkaliczne, zawierające węglany alkaliczne (sodowe, wapniowe i magnesowe), oraz chlorki sodu i potasu i wolny kwas węglowy. Pozatem napotykamy tu źródła litowe jako też bromo-jodowe i bardzo wiele żelazistych. Obfitość i różnorodność źródeł, w tak wielkiem bogactwie blisko siebie na jednem miejscu występujących, sprawia, że bywają one zastosowywane z najlepszym skutkiem w najprzeróżniejszych chorobach. Z większych zdrojowisk galicyjskich trzeba nam dalej wymienić Rabkę, Rym i Iwonicz, ostatni z najsilniejszemi bodaj zdrojami boro-jodowemi w Europie. Słynne są solanki w Truskawcu opodal Drohobycza, gdzie oprócz kąpieli słonych z wielkim skutkiem bywają zastosowywane kąpiele borowinowe i szlamowe. Pozatem napotykane tu źródła siarkowodorowe umożliwiają połączenie kąpieli słonych z siarczanemi. Jako czysto siarczane źródła słyną miejscowości Lubień i Pustomyty (na południe-zachód od Lwowa), również z zakładami kąpielowemi. Źródła te czerpią zasoby siarki z pokładów siarkonośnych, których nigdzie nie brak w tych okolicach, jak o tem świadczą niesłychanie bogate pokłady gipsu, napotykane tu wszędzie na powierzchni. Nietylko jednak w zachodniej Galicyi są miejscowości, słynne z piękności swojej przyrody, nadające się na dłuższy pobyt w nich latem, lecz i w wschodniej u podnóża Karpat ich nie brak. W dolinach rzek Stryja (Skole), a nadewszystko Prutu znajdujemy miejscowości jak Delatyn, Jaremcze, Dora, Mikuliczyn i Worochta, przez letników pilnie odwiedzane. Szczególnie ulubioną miejscowością jest Jaremcze, choć niestety żydzi, którzy się najwięcej poznali na pięknem jego położeniu, dziś tłumnie dotąd przybywają i Polaków wypierają. Jest to dość ogólna wada galicyjskich uzdrojowisk, że po kilku latach żydzi biorą w nich górę, a my nie chcąc z żydowstwem w istocie pod niejednym względem wstrętnem się stykać, ustępujemy

i omijamy najpiękniejsze swoje ustronia. A jednak taka Huculszczyzna n. p. zasługuje w zupełności na to, aby ją Polacy i z dalszych stron odwiedzali i poznali, gdzie bliskość najwyższych szczytów Karpackich (w Czarnohorze) pozwala zapoznać się z niezmiernie dziką przyrodą dziewiczych lasów karpackich, ciągnących się w kilkunastumilowym pasie aż na Bukowinę. Miejscowość Kosów niedaleko Kęt, a więc granicy bukowińskiej, posiada także swój zakład kuracyjny, i z powodu pięknej tutejszej przyrody leśnej, coraz liczniej bywa odwiedzany. Na ogół trzeba powiedzieć, że kraina górska Galicyi za mało dotąd nam jest znana, o wiele mniej, jak na to zasługuje, a nawet Polacy z Galicyi samej chętniej jeszcze wyjeżdżają za granicę, niż do własnych uzdrojowisk, ku czemu przyczynia się coprawda niezbyt wielki porządek, utrzymywany zazwyczaj w zakładach kuracyjnych, jako i natarczywość żydowska, z którą się z chwalebnym wyjątkiem bodaj jednego Zakopanego wszędzie spotkać można. Mimo, że Galicya, jako kraj podkarpacki, najwięcej obfituje w okolice o pięknych krajobrazach i miejscowościach wodoleczniczych, nie brak ich jednak i innym dzielnicom Polski, choć nie są one tak słynne ani tak licznie odwiedzane. W zaborze pruskim coprawda najbiedniejsi jesteśmy pod tym względem, gdyż takie miejscowości jak Sopoty pod Gdańskiem mimo wielkiej liczby gości polskich, lub solanki w Inowrocławiu, choć na polskiej znajdują się ziemi, zupełnie nam są obcemi. Za to Królestwo może się poszczycić posiadaniem kilku miejscowości, tak pod względem piękności jak i wartości jej przyrody w postaci źródeł leczniczych, słynnych. Okolice takiego Ojcowa więc, w dolinie Prądnika, który wyżłobił sobie w wapieniu dziwnie romantyczne łożysko, wraz z jego zamkami, jaskiniami i ogromnemi głazami, wszystko to na tle przedziwnej zieleni jodeł leśnych, składają się na tak uroczą całość, że zasłużyły sobie na nazwę „polskiej Szwajcaryi.“ Stworzony jakby na to, aby tak dla mieszkańców pobliskiego Krakowa jak i Warszawy stanowić cel wspólnych wycieczek, przedstawia Ojców już dziś kit w rodzaju Zakopanego, łączący obydwa zabory, ku czemu nie mało przyczynia się swojska tutejsza atmosfera, w której żydostwo na szczęście się nie aklimatyzuje. Z zakładów wodoleczniczych trzeba nam w Królestwie wspomnieć przedewszystkiem Busk, położony w Kieleckiem, z słynnemi swojemi słonemi kąpielami.

Jest to miejscowość bardzo dawna, gdyż już Długosz, historyk polski z XV. stulecia, wspomina o solankach w Busku, i posiada własne zakłady kąpielowe. Równie znane zakłady wodolecznicze istnieją w Ciechocinku nad Wisłą (na Kujawach), której solanki, podobne co do z pochodzenia im równych inowrocławskich, należą do najsilniejszych wogóle znanych. Wyrobioną sławę ma dalej w Królestwie także Nałęczów (pod Puławami), którego wód wapienno-żelazistych używają w tutejszym zakładzie kąpielowym. Z miejscowości kuracyjnych, leżących na dalszych obszarach ziem polskich trzeba wspomnieć o Sławucie na Wołyniu, własności ks. Sanguszki, gdzie słynne znajdują się stadniny koni. Powstał tu nad rzeką Horyniem zakład lecznicy kumysowy, w którym bywa zastosowywane odżywianie chorych za pomocą mleka kobylego t. zw. kumysu. Na Litwie nareszcie dwie są miejscowości kąpielowe, zasługujące na baczniejszą uwagę. Druskieniki nad Niemnem, na 5 mil na północ od Grodna położone, a komunikacyą parowcową z niem połączone, z dawna już cieszą się ustaloną sławą skuteczności swoich wód źródlanych, które tak obficie zawierają rad, że z niemieckiej strony robiono w ostatnim czasie energiczne, lecz próżne zabiegi o zawładnięcie temi cennemi źródłami dla eksploatowania owego tajemniczego i ogromnie obecnie poszukiwanego materyału. Nadewszystko zaś mamy na Litwie Połągę, własność hr. Tyszkiewicza, położoną nad morzem Bałtyckiem, o kilka mil na północ od Kłajpedy (Memla). Jestto jedyna miejscowość na całą Polskę, w której znajdują się prawdziwie polskie kąpielowe zakłady morskie, tylko przez Polaków odwiedzane.

Dobrze wychowany człowiek jest mimo braku nauki i wyższych zdolności, całe swe życie dobrze wychowanym człowiekiem; idzie śmiało w lepsze towarzystwa, pływa w nich jak złoty pstrąg w wodzie lub jaskółka w powietrzu i nie potrzebuje się za swą rubaszność rumienić. On jest nadobnym narcyzem, jednakim w ogrodzie króla i wieśniaka. Czem jest piękność oblicza lub strój ciała dla zewnętrznego człowieka, tem jest dobre wychowanie dla mieszkającego w nas Parysa. Dobre wychowanie jest blaskiem tęczy bóstwa naszego, rokującym nam życia pogodę. Miasto lub wieś, gdzie braknie dobrego wychowania, jest knieją dwunożnych wilków lub niedźwiedzi.

B. F. Trentowski.

„Unia“ Weyssenhoffa.

Podajemy poniżej maleńki wyimek z najnowszej powieści Józefa Weyssenhoffa, głośnego autora „Podfilipskiego,“ „Sprawy Dołęgi,“ „Dni Politycznych,“ „Syna Marnotrawnego“ i innych znakomitych dzieł powieściowych.

W najnowszej powieści swojej — miejscami może zbyt przeciążonej dyskusyą polityczną i społeczną — wprowadza nas autor w pełen poezyi kraj litewski, zapoznaje z jego ludnością i prądami politycznemi i społecznemi w łonie poszczególnych jej warstw się uwydatniającemi. Jak w kalejdoskopie przesuwają się przed naszemi oczyma rozliczne znakomicie scharakteryzowane typy, będące jakoby symbolami tych rozlicznych prądów, których współczesna Litwa jest widownią, postacie będące ucieleśnieniem poglądów zasadniczych uwydatniających się tak na wzajemny do siebie stosunek warstw zróżniczkowanego pod względem narodowościowym społeczeństwa litewsko-polskiego jako też na stosunek samejże Litwy do Polski, z którą ją łączy pamięć i tradycya kilkuwiekowej wspólnoty politycznej i kulturalnej, a od której ją dzieli w pewnej mierze odmienność rasy i powodowana tem odmienność temperamentu i charakteru ludności, przedewszystkiem zaś wynikający stąd głęboki antagonizm plemienny.

Nie potrzeba się godzić na wszystkie Weyssenhoffa w tych sprawach sądy. Tak n. p. nie każdy podzieli zapatrywania autora na źródła ruchu nacyonalistycznego na Litwie. Weyssenhoff zdaje się mniemać, iż antagonizm plemienny zaszczepili na Litwie sztucznie agitatorzy. Tymczasem jest on — podobnie jak ruch polski na Śląsku — naturalnym zupełnie wynikiem ducha czasu, który budzi w ludzie drzemiące iskry poczucia plemiennej odrębności i rozpłomienia dążności separatystyczne. Również częstego jego powoływania się na wyświadczone Litwie w przeszłości przez Polskę dobrodziejstwa kulturalne nie każdy uzna za argument dostatecznie motywujący żądanej przez autora i w przyszłości stałej i dobrowolnej samopolonizacyi żywiołu litewskiego. Historya bowiem obfituje w tyle przykładów niewdzięczności plemion kulturalnie i cywilizacyjnie niżej stojących wobec plemienia cywilizatorskiego, że przykry ten objaw niemal za prawo historyczne uznać należy.

Ponieważ autor stoi niewzruszenie na stanowisku unii polsko-litewskiej, przeto zwalcza tak wybujałość ruchu narodowolitewskiego jak szkodliwy kwietystyczny partykularyzm pewnej części szlachty polsko-litewskiej. Przyznając żywiołowi polskiemu wszelkie prawo przeciwstawiania się za daleko posuniętym uroszczeniom litwomańskim i innym tendencyom luzującym tradycyę wspólnoty polsko-litewskiej, radzi delikatną tę kwestyę traktować nie ze stanowiska frazeologii patryotycznej, lecz stara się ją rozwiązać za pomocą świadomej celu pracy społecznej i kulturnej, jaką rozpoczyna przedsiębior-

czy i dzielny koroniarz Rokszycki ze swą litewsko-polską małżonką.

Książka Weyssenhoffa należy do tych, które nie tylko sprawiają wielkie estetyczne zadowolenie, lecz zarazem pouczają i pokrzepiają czytelnika. Wyróżnia się ona swym optymizmem dodatnio z nieprzejrzanego szeregu przygnębiających powieści nowoczesnych. Pulsuje w niej zdrowie i siła i szczere umiłowanie ojczyzny. Przepyszne zaś opisy kraju i ludzi, znakomity, mistrzowski rysunek poszczególnych typów, barwność i plastyka obrazowania, szlachetny indywidualny język — oto dalsze jej i wielkie zalety. Życzyć należy, aby wielu znalazła czytelników.

A teraz dopuszczamy do słowa samegoż Weyssenhoffa:

Ranek rozbłysnął równie pogodny, jak dni poprzednich, słoneczny, lecz przesiąknięty rzeźwym powiewem, jak ranki nad wielkiemi wodami. Dwór wiszuński stał wyświeżony w świetle, śmiało się jezioro trochę zimno, drzewa gwarzyły w koronach. Niby tego poranka nie odróżniało od wczorajszego, gdyby nie stroje mieszkańców Wiszun odmienne.

Dwaj Budziszowie chodzili wzdłuż domu, przybrani w długie, czarne surduty; w okolicy kuchni przelatywały pędem dziewczyny obute, w barwnych kieckach i kaftanikach. Jedne miały świeże kwiaty, wplecione w płowe, tłuszczem smarowane włosy, drugie głowy przykryte jedwabnemi chustami. Parobcy ukazywali się w pięknych kurtach najświeższej kowieńskiej mody i świecili butami tłusto wysmarowanymi. A ochmistrzyni pani Mickiewiczowa (tak) włożyła swą zieloną suknię i czekoladowy kapelusz z piórem. Była bowiem niedziela.

Panu Apolinaremu służył wybornie klimat litewski, wzmagał w nim humor i apetyt. Do porannej ze wszech miar mickiewiczowskiej kawy podawano także półgęski, serki „dołowane“ z kminem, szpekkuchy, że trzeba je było zakropić kieliszkiem przedniej „familijnej“ starki, a po starce znowu przekąsić.

— Jem za dwóch, dobrodzieju mój, i czuję się lekkim! Prawdziwa kuracya po naszej polityce warszawskiej!

— To i chwała Bogu — odpowiadał Hieronim.

Ale pokrzepione zdrowie Budzisza koronnego nie objawiało się bynajmniej przez lenistwo sybarytyczne, owszem, przez przypływ pomysłowości.

— Muszę wygłosić w Wilnie ten odczyt o Unii, o którym ci już wspominałem, bracie Hieronimie. Rzecz jest zupełnie na czasie.

— Można — odpowiedział Litwin bez zapału.

— Trzeba, dobrodzieju mój! Jakże to zostawić bez silnej odpowiedzi te wszystkie napaści na Polaków? Co innego zajmować się ludem, jak twoje panie. Co innego pozwalać mówić po litewsku, komu wola, albo i drukować. Ale dawać sobie jeździć po nosie, słuchać obojętnie takich bredni, jak ten tam pisze, że myśmy Litwę oszukali i wyzyskali, że za Jagiełły Litwa była mocarstwem, a my roztrzęsioną, walącą się budą, że tak nam zależało na Unii, aż Jadwigę zmusiliśmy do bigamii — to za grube żarty, dobrodzieju mój!

— Wiadomo, grube, to też i nikt nie wierzy.

— Jeżeli nikt nie wierzy, dlaczegoż drukują i przedrukowują tę bibułę z ciągłą naganką na nas?

— To oni tacy specyaliści. A myślisz, że to od ludu? Et!... Obacz nasz lud w Wiszunach!

— Otóż to. W takich stosunkach, jak wasze z ludem, gdzie tu może powstać nienawiść do żywiołu polskiego?

— To też i nie powstaje.

— Dlaczegoż więc powstaje gdzieindziej?

Hieronim zmierzył krokami całą długość dworu wiszuńskiego zanim odpowiedział. A gdy zawrócili napowrót, Apolinary już myślał o czem innem.

— — — — — — —

— — — — — — —

Świątynia, oglądana już wielokrotnie z daleka, zadziwiała zblizka tylko swym ogromem i rozrzutnością użytego materyału. W masywnym murze szczytowym za ołtarzem widniały, jak strzelnice, wązkie okienka od celek klasztornych, objętych całkowicie grubością muru.

Przed nizkiem głównem wejściem, na kamiennych schodach, nie siedzieli żebracy, lecz rozsiadły się swobodnie kobiety z ludu, przybyłe na nabożeństwo. Niektóre starsze zachowały jeszcze malowniczy strój głowy, białą jak śnieg „namiotkę“, przypominającą misternem wiązaniem ubiór kobiet polskich z XVI. wieku. Wielu mężczyzn chodziło po podwórzu kościelnem, trzymając czapkę w prawej ręce, charakterystycznie założonej pod lewe ramię. Jak wszędzie na wsi, kościół i jego najbliższa okolica stawały się w pogodną niedzielę miejscem uczty oczu i uszu, zbiorowem weselem, polem popisu z dostatków i urody. Nic to nie ubliża szczerej pobożności litewskiego ludu.

Przez boczne wejście od zakrystyi weszli Budziszowie i Rokszycki do wnętrza nawy i zajęli miejsca w jednej z czterech ławek, ustawionych dla „honoratiores“ przy obu murach rozległego presbyterym. W tej części kościoła, odgrodzonej balustradą, tłum był rzadszy, bardziej z miejska ubrany, przeto pospolitszy. Ale piękniejsza chwała Boża biła od ludu, klęczącego wzdłuż ogromnej nawy dwoma zastępami, ciemnym z mężczyzn i kwiecistym z niewiast. Rozłączał je szpaler środkowy, strzeżony przez „bratczyków“ w liberyi kościelnej, z których każdy dzierżył poważnie latarnię, osadzoną na wysokiem drzewcu. Kto chce oglądać powagę i krasę

Z uroczystości grunwaldzkich w Ameryce.



Rodacy nasi na drugiej półkuli święcili w wielu miastach bardzo uroczyście pięćsetną rocznicę bitwy pod Grunwaldem solennemi nabożeństwami w kościołach i świetnemi obchodami. Nasza rycina obrazuje chwilę takiej uroczystości w jednym z kościołów amerykańskich, podczas której ks. arcybiskup Farley celebruje mszę św.

ludu litewskiego, niech przyjeżdża na mszę niedzielną do Wiszun.

Pułk męski klęczał w skupionej zadumie. Głowy rozliczne częściej jasnowłose, mówiły każda po swojemu, o spokoju sumienia. Trudnoby je posądzić o instynkty drapieżne, o zaborcze ruchy zbiorowe, o nerwową niecierpliwość rewolucyjną. Marzące błękitnie, kwitnące spokojnie, czasem zastygłe w biernej zaciętości, twarze te były krewne typu prasłowiańskiego.

Kolumna niewiast wysuwała na front najpiękniejsze. W ogromnym kobiercu szat barwnych, białych „namiotek“, kwiatów świeżych, trzymanych w ręku i upiętych we włosy, zalotne oczy i różane cery młodych Litwinek błyszczały, niezwyciężone przez nadmiar barw otaczających. Czy się pochyliła która niedbale, zrzucając na ramiona chustę z rozgrzanej głowy, czy skamieniała w czołobitnym pokłonie, dorysować było można szlachetną linię ciała o długiej goleni i spadzistych barkach.

A od całej nawy, szczelnie zajętej przez lud, wiał świeży zapach chleba i ziela, nie kłócąc się z wonią kadzideł.

W kolatorskiej ławce modliła się naprawdę przykładnie tylko Aldona, zwrócona twarzą do ołtarza, uważna na dzwonki mszalne. Hieronim Budzisz, mieszcząc z trudnością długie nogi między ławą a pulpitem, siedział boczkiem skulony, jednak z powagą. Ale dwaj koroniarze, dostawcy, jak na pokusę miejsca w pobliżu kwietnego łanu dziewczęcego, nie mogli się powstrzymać od niewczesnych tutaj studyów ludoznawczych. Pan Apolinary raz po raz wynajdywał w tłumie jakąś twarzyczkę ślicznie na niego zagapioną, a po chwili, czując, że sam nabiera rozmazanego wyrazu, odwracał się stanowczym ruchem, marszczył brwi, zjeżał wąsy, siląc się na poważny, odpowiedni do sytuacyi profil. Nareszcie, aby uniknąć zapomnień, chwycił za książkę do nabożeństwa, leżącą na pulpicie, i zaczął w niej czytać napotkane przypadkiem psalmy pokutne.

Ale i z klęczącego tłumu kobiet setki oczu ciekawych zwracały się uporczywie ku ławce kolatorskiej, na miejsce, gdzie siedział Kazimierz Rokszycki. Ten swoim zwyczajem, nie udając nigdy nic, spoglądał prosto tam, gdzie go oczy ciągnęły. I nieraz zdybał wyiskrzone ku sobie błękitne oczy i usta półotwarte, wpadające w uśmiech porozumienia. Piękna Litwinka, przy takiem spotkaniu zwracała nagle oczy na boczne ołtarze, kręciła się pod palącym wzrokiem pięknego, nieznajomego panicza, a ujść nie mogąc inaczej, kryła twarz zapłonioną, padając w głęboki pokłon.

Opar kadzideł i senny głos organów kołysały lubo; niejeden się zapamiętał w modlitwie, inny i usnął w służbie Bożej. Kazimierz, pod wpływem kołyszącej atmosfery, spoważniał wkrótce, przestał się rozglądać, wzrok utkwił w górne gzemsy kościelne.

Od czasu przybycia swego na Litwę mierzył ten kraj okiem, zgłębiał rachunkiem, obejmował rozgrzanem sercem, liczył widoczne i ukryte skarby ziemi i narodu. I przejmowała go duma, że ta piękna, poważna kraina, zniewolona niegdyś chrześcijańskim podbojem, bo pokrewieństwem duszy zbiorowej i dążeń historycznych, skojarzyła się z Polską i zakwitła z nią dwukwiatem jedynym w dziejach.

Litwa przyjęła — dumał — wiarę naszą, obyczaj nasz, kulturę naszą bez niewoli, ani ukorzenia i pięciowiekowym namysłem utwierdziła się w przekonaniu, że uczyniła dobrze. Ani cienia zdrady, ani jednego buntu do przedwczoraj jeszcze. I my względem niej win nie mamy. Nie szczepiliśmy naszej kultury po prusku, dawaliśmy Litwie do wyboru język nawet urzędowy, aż sama porzuciła niedołężne narzecza, aby się stać ogrodem mowy polskiej, wybujałym w takie dęby, jak Mickiewicz. Rozłączaliśmy nasze skarby i wojska; nie przeciągaliśmy nigdy ukazem soków pożywnych z pod Niemna nad Wisłę; łączyliśmy się dobrowolnie ku wspólnej obronie. Win wzajemnych względem siebie królewskie Siostry nie mają.

Jak rój much natrętnych przeleciały przez pamięć Kazimierza zadawnione, jedne marniejsze od drugich, uszczypliwe przytyki do Litwinów, miłe Koroniarzom, ostrzącym języki na byle jakim przedmiocie. Poważni Litwini mają cienką skórę, są pamiętni uraz.

— Ale mądrzy — odpowiedział Kazimierz z przekonaniem za Litwę.

Skąd te pomruki? Skąd te nagłe niechęci, wybuchające przeciwko nam z łona młodej Litwy? Gdzie wzięły początek prądy separatyzmu?

Spojrzał na łan klęczący.

Nie pośród ludu. Niema większego oddalenia między tym ludem a nami, niż to, które istnieje między chłopem mazowieckim lub wielkopolskim a szlachtą tejże rasy. Są różnice kultury, różnice ekonomiczne, zawiści klasowe... Mniejsze chyba niż nad Wisłą? Gdzie na tych pogodnych twarzach zdybać zawiść? Jak tych bogatych, dalekich od miast włościan posądzić o pożądanie innego losu, niż błogi ich los oraczów pięknej, wdzięcznej, własnej ziemi? Przyszli tu oto do wspólnej z nami świątyni, fundowanej przez Budziszów, rozgrzać wiarę swoją — wiarę naszą — rozradować się w Panu, że żyją w dostatku i spokoju... Jeżeli i tu powstała, jak gdzieindziej, haniebna rozterka między mniejszym i większym posiadaczem, to poduszczona przez obcych. Już znikła, a nigdy nic wspólnego nie miała z nienawiścią plemienną.

Różnicą języka?... Ależ język litewski pozostał dobrowolnie bez wszelkiego ucisku z naszej strony, mową gminu. W iluż krajach, w ilu nawet ziemiach polskich klasa kulturalna zaledwie rozumie mowę ludu! I hodujcie sobie, rozwijajcie swój śpiewny język! Pomnijcie tylko, jaką mowę przyswajał sobie od wieków każdy większy z was, gdy wyjrzał na świat szerszy; nie wypierajcie się połowy braci waszych rodzonych, którzy i do chaty wprowadzili mowę polską.

Kazimierz mówił to już w dal, do jakichś ludzi tu nieobecnych, do pismaków i rzekomych przywódców ruchu ludowego na Litwie. Bo ci, którzy tu klęczą, nie śnią zapewne o wyzwoleniu się z pod przemocy... polskiej. Słyszeli coś o tem od nowych rzeczników duchownych i świeckich, ale do serca nie wezmą. Przez powolny, lecz pewny rozum pozostaną przy dawnej wierze i dawnem przymierzu. Ruch samego ludu w kierunku separatyzmu wydał się Kazimierzowi niemożliwym, a podżegacze marnymi i nielicznymi. Więc rozpromienił czoło otuchą, zataczał marzeniem coraz szersze kręgi, obejmował przyszłość wspólną, świetlą i mocną.

Ale i on, choć młody, przeżył już konstytucyę i rewolucyę, doświadczył, jak trudno uprosić Boga o wschód słońca dla upośledzonych narodów. I szukał w oczach klęczących Litwinów, czy są godnymi ojców synami, czy modlą się o to samo?

Zagrały organy głośny finał i umilkły. Powstały gęstsze dymy od ołtarza z rozżarzonych kadzielnic. Cisza, która zaległa, wyrywała się do pieśni. I ukląkł kapłan przed stopniami ołtarza i rozwiązał pragnące usta tłumu, intonując samotnym głosem:

— Szwintas Diewe!*)

Nuta padła na klęczący zastęp męski, jak pierwszy podmuch orkanu. Zbudziła ton czysty, już potężny, ale płynący niby z oddalenia, rosnący w

*) Święty Boże.

chóralną moc. Wzmagał się coraz harmonijny dech suplikacyi, przelewał się już grzmotem i począł się znowu rozpływać decrescendem olbrzymiego westchnienia. Jeszcze nie skonał przed wysokim stropem, gdy nutę w wyższej oktawie podchwyciły głosy kobiece. Jakby na falę dopiero grzmiącą, która umilkła, zleciała świegotliwa chmura ptactwa i, chwyciwszy ton, niosła go wyżej rozełkanym lamentem.

Przeleciała — i wybuchły znowu grzmoty chóru męskiego, nastrojone zgodną śpiżową potęgą.

A milknące wołanie mężów nowym zgiełkliwym wybuchem podtrzymywały niewiasty:

Od powietrza, głodu, ognia i wojny
Zachowaj nas, Panie!

I niosła się pieśń ogromna dwoma hufcami, mocując się z Panem zastępów przemożną modlitwą.

Wspomniał Kazimierz, że o tej samej godzinie grzmi ta sama pieśń dzisiaj z milionów piersi na przestrzeni od Karpat aż po Niemen i Dźwinę. I rzucił się w chór wołający mężów całą siłą głosu swego męskiego, całym zapałem duszy swej, pragnącej uszczęśliwienia milionów.

Nieśli pieśń w górę aniołowie trębacze wysoko, przez ukośne strugi słoneczne, poza sklepienia; a gdy przebrzmiało wołanie ostatnie, przysiedli na górnych gzemsach aniołowie ciszy.

— — — — — — — —

Gdy wychodzili z kościoła obaj Budziszowie, pan Apolinary zatrzymał się przed głównemi drzwiami, z których sypał się wesołą czeredą po schodach tłum szary i barwny.

— Oto nasi śpiewacy! — mówił, lustrując mokrem jeszcze okiem mijające gromady.

I pan Hieronim mrugał niezwykle oczyma, obejmując co chwila jasne głowy, schylające się do rąk jego wielkich, ojcowskich.

Przez łańcuch robotników stojących na drabinie, wędruje cegła w górę. Każdy podaje ją wyżej o długość swych ramion, otrzymując ją od swego poprzednika. Tak samo dzieje się i z budową w dziedzinie ducha ludzkiego. Podających cegły na długość swych rąk jest bardzo wielu — architektów bardzo mało.

Władysław Bylicki.

* * *

Kto nie wie, co to boleść, smutek i cierpienie
Ten także nie zrozumie, co to poświęcenie.

Jadwiga Gembarzewska.

Preludya Chopina.

(Ciąg dalszy.)

V.

(Niepokój.)

Poprzez lasów cienie
poprzez jasne sioła — —
Coś mię gna — coś żenie
Coś ku sobie woła — — — —
Lęk — myśli mi plączy
Słabem sercem targa
W jeden dźwięk się łączy
Radość, łzy i skarga.
Jakaś pieśń miniona
W półśnie mi się marzy —
W mglistą dal wpatrzona
Czekam jakiejś twarzy — —
Wzrokiem po przestrzeni
W nadziei i trwodze
Szare ścigam cienie
Po rozstajnej drodze — —
Myśl tonie w zadumie
Baśń tajemną snowa
W głuchym drzew poszumie
Znane chwytam słowa — —
Coś mi smutek zwieszcza
Dobę wróży łzawą — —
Jakiś sen się streszcza
Niezniszczoną jawą — —
Przedemną noc złudna
Czar kładzie miraży —
To znów chwila cudna
Wizyą mi się marzy . . . . .
Cicho szumią bory
Świat się cieniem mroczy,
Na puste ugory
Tęskne wieszam oczy — —
W oddali majaczy
Mgłą usłana droga — —
Coś się sercu znaczy:
Radość-li — czy trwoga?...

VI.

(Deszcz.)

W noc jesienną... w bezgwiaździstą noc
Stado chmur po szarem niebie gna,
Na mogiłkach wichr żałośnie łka — —
Chorą duszę — smutku więzi moc —
Jeno serce roztęsknione drga — —
Jeno deszcz — po szybach cicho gra...
Zawieruchą rwane, — lecą liście
Krąg zawrotny wiodą ode wzgórz — —
Dzwonią w szyby — — mokre drzew okiście —
Echem skargi — zabłąkanych dusz —
W noc jesienną — na jeziora dnie
Zatopiony — odzywa się dzwon.
Po przez wichry — jęk rozpaczy szle...
W jeden rytm — i jeden bije ton...
Sercem — trwogi dziwnej — władnie dreszcz
Legendowe roją mi się sny — —
Za okienkiem cicho dzwoni deszcz:
. . . .
I padają kreple — jako łzy — — —

VII.

(Marzenie.)

Po miesięcznej fali —
srebrna płynie noc
Blaskiem lśni opali —
czarów sieje moc
Złud owiana tchnieniem —
przez błękitną baśń —
Snuje się marzeniem
księżycowa baśń...... —

Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości beletrystyczne.

Wł. St. Reymont: Marzyciel. Warszawa 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków — G. Gebethner i Spółka.

Najnowsza powieść *Wł. St. Reymonta* p. t. *Marzyciel* zasługuje z wielu względów na uwagę. Powraca w niej autor „Fermentów" w myśl znanego przysłowia francuskiego do swojej „pierwszej miłości". Reymont był przed laty — jak wiadomo — urzędnikiem kolejowym, następnie aktorem, później znowu „kolejarzem". Spostrzeżenia, jakie Reymont poczynił w swej karyerze aktorskiej dały mu impuls do napisania świetnej „Komedyantki"; w niej wprowadza autor czytelnika w świat zakulisowy teatru wędrownego. Była to pierwsza dłuższa powieść Reymonta (najpierwszą pracą był obrazek „Pielgrzymka do Jasnej Góry"). Dalszy ciąg „Komedyantki" stanowią „Fermenty", chociaż na zupełnie innem tle osnute. Tu przedstawił nam autor wszechstronny obraz życia kolejarzy na odludnej stacyi, obraz niepospolicie zaobserwowany i subtelnie wykonany. Do tego ulubionego przez siebie środowiska powraca Reymont znowu w „Marzycielu", i tu przypatrujemy się barwnemu życiu na stacyi, oglądamy z ciekawością cały aparat kolejowy przez autora w najdrobniejszych szczegółach odtworzony. Na tem tle zarysowywa autor nadzwyczaj oryginalny typ człowieka.

Syn obywatela ziemskiego, a wnuk senatora, spełnia, zbiegiem okoliczności do tego zmuszony, na małej stacyi funkcye kasyera. Nie czyni tego chętnie. Myśl jego błąka się najczęściej w krainie marzeń, ich kulminacyjnym punktem jest wyjazd w świat szeroki. Ale skromne dochody kolejowego oficyalisty nie zezwalają na zrealizowanie tych pięknych rojeń. Wie o tem dobrze nasz marzyciel, nie przeszka-

dza mu to jednakże snuć najróżnorodniejszych planów podróży. Studyuje mapę Europy, otacza się stosami przewodników kolejowych, albumami z widokami, i... dusi się dalej w atmosferze, w której czuje się nieszczęśliwym. Coraz bardziej obmierza mu jednostajność jego życia: sprzedawanie biletów („przegląd ludzkich rąk“), wydawanie resztv, kłótnie z pasażerami itd. Może zresztą pogodziłby się jeszcze z losem i przyzwyczaił do swojego zajęcia, gdyby go nie pożerała ta gorączka podróżowania. Słabostka ta przeradza się u niego w formalną chorobę. Za każdą cenę pragnie wyrwać się w świat, aby módz zakosztować przyjemności, o jakich dotychczas tylko mu marzyć wolno. Zabiera więc koledze podczas jego snu pugilares z pieniędzmi; zdrowy rozum odnosi atoli na razie jeszcze zwycięstwo nad chorobliwym popędem: nasz bohater oddaje więc te pieniądze (kładzie je napowrót pod poduszkę tak, że kolega ów nic nie zauważa) i pozostaje w domu. Biedny marzyciel poznaje teraz swój stan anormalny — przecież omało co nie został złodziejem! — Postanawia więc leczyć się niezwłocznie. Zdaje mu się, że obmyślił środek radykalny i stosuje go: ciska w ogień całą kolekcyę książek podróżniczych, drze mapę Europy, wrzuca w piec ukochane swoje broszury, karty, rozkłady jazd, albumy z widokami. A kosztowało go to niemało: cierpiał strasznie, gdy płomienie ogarniały jego wymarzone lądy i morza, miasta i góry; szczątki tych widoków wyciągał jeszcze z ognia i całował je z uniesieniem!

Ale heroizm ten nie ocala go, nic nie zdoła już dawnych pragnień i marzeń zagłuszyć, brzydną mu miłostki, jakim dotąd oddawał się na stacyi, wstrętna mu jest jego rola kasyera. Zupełnie traci panowanie nad sobą po odebraniu od przyjaciela listu z Paryża. Tak, Paryż zwiedzić musi przedewszystkiem! Głos rozsądku przycicha coraz bardziej. Nasz bohater nie potrafi już oprzeć się pokusie: sprzeniewierza pieniądze kolejowe i udaje się z dość pokaźną sumą w wyśnioną podróż. Ale spotyka go rozczarowanie. Świat przedstawia mu się w rzeczywistości zupełnie inaczej niż w marzeniach gorączkowej wyobraźni snutych na stacyjce. Nic go nie zadowala, nic nie koi jego strasznej tęsknoty. Paryż go nudzi. Ostatecznie ginie śmiercią samobójczą (rzuca się pod pociąg), gdyż dowiaduje się, że policya go szuka. Biedny marzyciel!

Powieść budzi, tak ze względu na psychologicznie skończony typ głównego bohatera, jak i na silnie narysowane figury drugoplanowe, oraz na środowisko, uwydatnione ze zwykłą u autora „Chłopów“ wyrazistością, niepospolity interes. Jest to powieść realistyczna, to znaczy, że autor nie upiększa w niej życia, lecz odtwarza je tak, jak ono przedstawia się w rzeczywistości, a w opisie swoim nie bawi się w dobieranie delikatnych słów i wyrażeń. Ale choć autor przemawia wyraźnie, bez osłonek, to jednak nie lubuje się w drastycznych scenach, realizm jego zawsze posiada miarę artystyczną.

Do „Marzyciela“ dodano trzy obrazki: „*Senne dzieje*“, „*W pruskiej szkole*“, „*Przysięga*“. Drobne te utwory nie dosięgają wprawdzie znaczenia „Marzyciela“, ale nie są bez wartości, gdyż niedarmo wyszły z pod pióra Reymonta. „Senne dzieje“ — to nieco mgliste połączenie wizyi z rzeczywistością, „W pruskiej szkole“ — króciutki, jaskrawy obrazek osnuty na tle znanych dobrze wypadków szkolnych, „Przysięga“ wreszcie przypomina żywo wrażenia Reymonta „Z ziemi chełmskiej“, jest więc plastycznie nakreślonym epizodem z męczeńskiej doli narodu ponoszącego chętnie najcięższe ofiary za wiarę i ojczyznę.

Jak się zyskuje złoto.

Szukanie i pozyskanie złota nie wiele sprawia trudności, lecz nie zawsze się opłaca. Wziąć naprzykład sporą porcyę piasku z nad Renu pomiędzy Bazyleą a Moguncyą i wsypać go z odpowiednią ilością wody do naczynia w środku niego zagłębionego, to znajdzie się wnet w owem zagłębieniu maleńkie cząsteczki złota. Lecz przy wysokiej obecnie opłacie robotnika nie warto podejmować się tego trudu. Z tem wszystkiem twierdzą geolodzy, że złoto, leżące w Renie, ma wartości około 140 milionów marek. Ale przed stu laty rzecz inaczej się miała — rząd badeński kazał wybijać rocznie mniej więcej 2000 złotych monet, zaopatrzonych w napis: „dukat złota reńskiego.“

Oprócz Renu dostarczały złota inne jeszcze rzeki niemieckie. I tak znalazł pewien chłopiec w roku 1826 w Grossbach koło Enkirch największą bryłę złota w Niemczech, ważącą 66 gramów. Bryła ta, jedyna w swoim rodzaju, znajdowała się jako nadzwyczajność w berlińskiem muzeum mineralogicznem, lecz skradziono ją i nikt nie wie, co się z nią stało.

W starożytności zyskiwano złoto zapewne głównie przez płukanie piasku rzecznego. Ale *auri sacra fames*, potępienia godna chciwość złota, czyli głód złota, jak Wirgiliusz żądzę posiadania kruszczu tego nazywa, wzbudzała już wówczas życzenie pozyskania złota z kamieni i skał. U Diodora znajdujemy szczegółowy opis zwiedzonej przez niego kopalni, leżącej na ostatecznym krańcu Egiptu tam, gdzie, jak mówi, Etyopia styka się z Arabią. Robotnikami byli niewolnicy i zbrodniarze, i praca była tylko ręczną. Ogromnie twardy kamień, zawierający żyły złota, ciągnące się jak białe nici przez czarną skałę, musiał być młotkiem wykuty. Skruszony w ogniu tłuczono w moździerzu i w końcu mielono. Potem dopiero przepłukiwano go wodą tak, jak gdyby był piaskiem rzecznym.

Herodot, żyjący mniej więcej 400 lat wcześniej, daje nam również bardzo zajmujące opisy kopalni złota, leżących na północ Morza Czarnego. „Ojciec historyi“ opowiada też o gryfach, strzegących złota i o jednookich Arimaspach, z którymi Goethe każe Mefistofelesowi rozmawiać w klasycznej nocy Walpurgisowej. Następująca uwaga Herodota stosuje się do złota nawet aż do czasów obecnych. Mówi on tak: „Kończyny świata najpiękniejsze otrzymały dary. Końcem świata na Wschód są Indye — jest tam dużo złota! Na Południe graniczy kraj etyopski z końcem świata, jest tam dużo złota i ogromne znajdują się tam słonie. O końcu północnym nie mogę nic powiedzieć, lecz ztamtąd przychodzi cyna i bursztyn, zdaje się więc, że końce świata obejmują resztę ziemi i zawierają to, co dla nas jest najdroższe i najpiękniejsze! Faktem zaś jest to, że terytorya bogatej produkcyi złota znalazły się zawsze tylko na granicach świata cywilizowanego. Kolumb znalazł złoto, gdy odkrył Amerykę, później pozyskali konkwistadorzy bajeczną ilość złota w Peru. Wszakże Inka Atahualpa kazał za uzyskanie wolności złotemi naczyniami napełnić tak wysoko, jak sięgnąć mógł — pokój, 22 stóp długi i 17 stóp wysoki, w którym go więziono. — Fakt ten zawrócił ludziom wówczas tak głowy, że uważali Peru za prawdziwe Eldorado. Miało się tam znajdować miasto Manoa, należące do innej dynastyi Inki, a otoczone złotym murem. Przeszło 200 lat wybierały się całe ekspedycye do dziewiczych lasów Ameryki na poszukiwanie tego cudownego miasta.

Kalifornijskie pola złota, odkryte na połowie przeszłego stulecia, leżały też wówczas na końcu świata. Co się tam działo z początku, o tem pisał pewien Amerykanin, jak następuje:

„Łożysko wyschłej prawie rzeki kamieniste było i twarde jak skała. Luźny piasek znajdował się tylko pomiędzy skalistemi częściami, lecz $1^1/_2$ hektara powierzchni był już przeszukany. Niedoświadczony człowiek nie byłby tam nic znalazł, poszukiwacze złota jednak zawodowi pozyskali dużą ilość kruszczu płukaniem piasku wydobytego z pomiędzy skał. Jedynemi narzędziami były szufle, rydel do odrzucania ziemi i płytkie koryta

do przepłukiwania piasku. Zręczny robotnik uzyskiwał w przeciągu kilku minut z tuzin ziarnek złota. W przeciągu jednego dnia miało towarzystwo, złożone z 10 mężczyzn złota 6 funtów. Gdy po raz pierwszy widziałem robotników, podnoszących w szalonym upale ciężkie kamienie, i stojących do połowy ciała w wodzie, wtedy zdawało mi się, że nigdybym się na podobną pracę nie zdobył, ale gdy się w korytach ukazały błyszczące ziarna złota, wtedy byłbym najchętniej chwycił szuflę i zabrał się do dzieła!“

Pliniusz zaś opowiada nam w swej: „historia naturalis“ tak:

„Dla wypłukania szczątków gór, zawierających złoto, sprowadzają strumienie rzek aż do 100 kilometrów (przeliczone na dzisiejszą miarę) długości. Te wodociągi muszą mieć silne spady, tak, aby prądy ich dostarczały siły roboczej. Dla tego sprowadzają wodę z najwyższych punktów. Strumień musi więcej spadać, niż płynąć. Doliny bywają połączone wysokiemi wodociągami i skały przebite dla ich przeprowadzenia. Robotnicy wiszą na linach i wyglądają zdaleka jak ptaki. Gdzie dotąd nie było oparcia dla stopy ludzkiej, tam tworzy człowiek łożysko dla prądu wody. Koło początku wodociągów, na wysokościach, kopią ludzie stawy i gdy napełnią je wodą, budują szluzy. Strumień spada z taką siłą, że porywa skały ze sobą. Dalszą robotą są na dole rowy służące do odpływu wody. Gałęzie suche i chróst jest tam ułożony dla zatrzymania złota. Woda prowadzi płynące części rozbitych do szczętu resztek gór do morza, i tak uzyskała Hiszpania kawał mocnej ziemi na Oceanie. Gałęzie i chróst trzeba potem spalić i wydobyć z popiołu złoto.“

W zupełnie podobny sposób spłukano i w Kalifornii wierzchołki gór, zawierające złoto, tylko że tu odbywało się wszystko łatwiej i prędzej. Wodę wyrzucano z ogromną siłą z wężów, których w czasach starożytnych nie znano, na góry. Szlam spuszczano też rynnami, w których zagłębieniu znajdowało się żywe srebro, rozpuszczające złoto tak łatwo, jak woda rozpuszcza cukier. Tym sposobem zyskiwano złoto o wiele czyściejsze, niż w czasach starożytnych. Tworzący się amalgam złota musi potem być destylowany, przyczem odzyskuje się napowrót żywe srebro — podczas kiedy złoto samo zostaje w żelaznej retorcie. Jeżeli przepłukanie jednego kub . metr . piasku w owych okolicach kosztowało 113 mrk., to obecnie kosztuje to tylko 20 fen.

Jeżeli używanie żywego srebra już



Jar 500-letni wśród pól Grunwaldzkich.
Las w blizkości kamienia pamiątkowego, gdzie przy końcu bitwy zacięta toczyła się walka. Otoczeni ze wszystkich stron Krzyżacy, ginęli wraz z końmi i do dnia dzisiejszego bieleją w jarze kości zwierzęce, jak to na obrazku się uwydatnia.

w czasach średnich spowodowało znaczne ulepszenie w kopalniach złota, to jednak dopiero w naszych czasach doszło do takiego stopnia doskonałości, że może zupełnie wyciągnąć złoto z kamienia. Wypróbowano ten sposób wydobywania złota w kopalniach, odkrytych znów na granicach świata, to jest na skraju Witwaters w Południowej Afryce.

Surowy materyał, jaki tam się wydobywa, wydaje się ludziom niedoświadczonym bardzo lichym. W 1000 kilo bardzo twardego kamienia znajduje się tylko 15—20 gramów złota surowego, wartości 40—50 mrk., jest to jedynie 0,002% złota. Ale dziś gorsze kruszce przerabia się z zyskiem. I tu musi być kamień potłuczony, z dodatkiem wody i żywego srebra. Ale przy tej sposobności zrobiono niestety doświadczenie, że i po użyciu żywego srebra zostało dużo jeszcze złota w kamieniu. W roku 1890 wynalazł Mac Artur Forest wyssanie pozostałości za pomocą rozcieńczonego cyankalium, które wyciąga złoto prawie bez reszty. W ten płyn kładą się płyty cynkowe zawierające ołów, które złoto wydzielają. Bajeczna wprost energia, z jaką pracują poszukiwacze złota bezustannie w kopalniach w Południowej Afryce nad ulepszeniem tego systemu, wzbudzi podziw w późniejszych pokoleniach. Przez wzgląd na opłatę robotników, można brać wyłącznie murzynów do cięższej pracy, lecz pomimo wszelkich starań nie było ich więcej jak 170,000, w grudniu w roku 1909 nawet tylko 165,000. Pomimo więc, że dziś trzeba gorsze już, niż z początku, przerabiać kruszce, to wartość pozyskanego złota w roku 1905 wyniosła 20,8 milionów funtów szterlingów, a w r. 1909 nawet 30,9 milionów f. szt. (funt szterlingów tyle co 20 mrk.). Ten ogromny postęp w przeciągu lat kilku może polegać jedynie na ulepszeniu systemu wydobywania złota z kopalni. Ponieważ pozyskane złoto na całej ziemi, w ostatnich trzech latach wynosiło 1600 milionów marek, przeto widzimy, że owe 600 milionów Południowej Afryki wynoszą połowę prawie pozyskanego złota. Po upływie jeszcze kilku lat wyrówna się stosunek ten jeszcze więcej.

Ale chociaż Południowa Afryka jest krajem rzeczywiście złotodajnym, to istnieje jeszcze inne źródło złota, niewyczerpane — to jest — woda morska. Zawartość złota morza została stwierdzoną w roku 1866 przez Sterry Hunta. Na 1000 kilogr. wody jest 32—60 miligr. złota, tak, że dla uzyskania 1 kilogr. złota potrzeba 30 milionów kilogr. morskiej wody. Duke kazał sobie w r. 1899 wystawić w Anglii patent na podobne pozyskanie złota. Wilde zaleca w belgijskim patencie 156,558 podchlorku cyny i wapna, celem wydostania czystego metalu. Ciantar chce podług belgijskiego patentu tak długo mieszać morską wo-

dę z żywem srebrem, aż żywe srebro z wody złoto wyciągnie, lecz ile by takie mieszanie kosztowało! Wiadomem jest także to, że w r. 1905 utworzyło się towarzystwo angielskie, (na którego czele stoi sir Wiliam Ramsay, jeden z najsławniejszych żyjących chemików), które chce w niewyjawiony jeszcze sposób wyciągnąć złoto z wody morskiej. O powodzeniu lub o niepowodzeniu tego zamiaru nic dotąd jeszcze nie wiadomo.

Nieco o grafologii.

Stare przysłowie twierdzi, że oko jest zwierciałem duszy a uczeni głoszą, że z sprężenia, ruchów, wyrazu twarzy i wyglądu powierzchownego człowieka wytworzyć można sobie sąd o jego duchowej wartości, o jego zaletach i wadach. Daleko dobitniej i niezawodniej można ocenić człowieka, obserwując jego pismo. Jako żak szkolny uczył się każdy z nas tworzyć znaki głosowe czyli głoski według podanych wzorów. Po opuszczeniu ławy szkólnej uległy owe formy zmianie. Każdy przyswoił sobie z czasem odrębne kształty głosek. Zależnie od tego, czy ktoś pisze pięknie lub mniej pięknie, ma piękną lub brzydką „rękę“. W każdym razie w tej „ręce“ ujawnia się usposobienie piszącego. Potrzeba tylko znać zasady, według których należy pismo w tym względzie rozpatrywać a dojdziemy do zdumiewających wyników. Grafolog, czyli osądzający według utartych zasad pismo, baczy na to, czy pismo duże lub drobne, prostopadłe lub skośne, okrągłe czy pełne ostrych kątów, czy linia pisma jest wszędzie równoległa, czy idzie czasem w górę, czy też czasem upada, albo się wężykowato ciągnie, czy głoski pojedyńczych słów związane są pospołu, lub czy stoją luźno obok siebie, czy głoski o, a , g, górą lub dołem zamknięte lub otwarte, jak położona i jak wygląda kreska przez t, gdzie stoją kropki nad i i jak są ukształtowane, czy piszący zostawia margines, czy pojedyńcze słowa zakończone długą lub krótką poziomą kreską lub większym albo mniejszym haczykiem, czy domyślniki długie czy krótkie, gładkie czy wężykowate.

Grafolog nigdy nie zadawalnia się jednym objawem grafologicznym, przeciwnie zbiera jaknajwięcej typowych znamion, bo im większa ich liczba tem trafniejszy sąd. Poniżej podajemy szereg cech grafologicznych, na podstawie których grafolog buduje charakterystykę.

Kto pisze z wielkim naciskiem jakby piórem przeznaczonem do pisma okrągłego i także z takim naciskiem przekreśla t., ten posiada silną wolę, kto zaś głoski wypisuje zupełnie cienko, ten zdradza słabość ducha. Kto się posługuje głoskami większych rozmiarów, tego zdobi hojność, wykwintność; przeciwnie zaś drobne głoski są dowodem oszczędności, ale także małoduszności i chytrości. Głoski, stojące pionowo piszą ludzie, u których rozum panuje nad sercem, natomiast gdzie uczucie silniejsze, tam pismo jest ukośne. Osoby piszące tak, że kierunek głosek idzie od góry do dołu z lewej strony na prawą (przeciwnie ukośnie) grzeszą obłudą a przynajmniej powściągliwością w udzielaniu się. Pismo pełne ostrych kątów jest cechą surowości i upartości a jeżeli jest przytem drobne, to zdradza chciwość i zazdrość; pismem okrągłem pisze człowiek uprzejmy, łagodny, dobroduszny. Kto pisząc, zalewa głoski o, a, e, g, o tym twierdzi grafologia, że jest zmysłowy, żądny używania, jeżli przytem pismo jest drobne i prostopadłe, jest brutalnym. Gdy linia pisma leży zupełnie poziomo, to piszący miłuje porządek, jest wytrwały i konsekwentny, linia pisma idąca w górę dowodzi żarliwości i optymizmu, gdy linia schodzi z czasem ku dołowi, oznacza to człowieka skłonnego do smaku i pesymizmu. Wężykowata linia pisma potwierdza sprawność i zdatność. Jeźli ktoś pisze o, a, g, tak, że głoski te górą są zamknięte, jest skłonny do tajemniczości. Powyższe głoski górą otwarte pisze człowiek otwarty, lubiący towarzystwo; obłudny zostawia te głoski dołem otwarte. Kto głoski g, j, zakończa prostą cienką kreską bez zaokrąglenia, jest oględny i oszczędny, kto zaś tę kreskę wykonuje prosto z wielkim naciskiem, ten ma skłonność do zapalczywości i popędliwości. Chełpliwi ludzie piszą duże głoski tak wielkie, że nie stoją w proporcyi z małemi, skromni zaś piszą je mniejsze niż by być powinno. Kto zakończa słowa długą poziomą kreską, jest rozrzutny, oszczędny zadowalnia się bardzo krótką, wytrwały człowiek robi na końcu słowa mały haczyk; samolub i próżny robi ten hak we wielkim rozmiarze i zwraca jego koniec na lewo. Punktualna, delikatna osoba przekreśla t, małą drobną kreską, jeżeli owa kreska jest krótka, to dowodzi stanowczości i wytrwałości, gdy jest długa znamionuje żywe usposobienie, gdy leży wysoko zdradza żądzę panowania, gdy leży nisko, dowodzi pokory. Satyryczna, krytyczna osoba rozpoczyna tę kreskę z wielkim naciskiem i kończy ją zupełnie cienko, igłowato. Kto robi tę kreskę tak, że jej prawy koniec idzie w górę, ten ma popęd do kłótni, kto ją kładzie w przeciwnym kierunku, jest uparty. Kreska z wyglądem wężykowatym cechuje człowieka wesołego, pełnego humoru. Niedbały zapomina kropki nad i, porządny kładzie ją tam, gdzie się należy, szybko myślący stawia ją za daleko na prawo. Delikatny robi małą kropkę, wielką, grubą zaś ten, który chętnie lubi używać świata. Rozsądny, poczciwy człowiek kładzie gładkie domyślniki zupełnie poziomo, wesoły robi je wężykowato, a nieufny nadmiernie długie. Kto pisząc, obywa się bez marginesu, temu brak gustu, estetyczna osoba zostawia margines z lewej i prawej strony. Kto pisze e jak drukowane, ten ma dar na artystę, kto się uważa za lepszego od swego otoczenia, ten małe s pisze większe od reszty głosek. Gdy n wygląda jak u, to piszący je odznacza się życzliwością i dobrodusznością. Kto l, b, k, d, pisze bardzo długie, jest zarozumiały. Kto ostatnią głoskę słowa tworzy większą od poprzedzających jest naiwny. Gdy głoski ku końcowi słów się zmniejszają, to dowodzi, iż piszący je nikomu nie ufa. Są w słowach wszystkie głoski ze sobą spojone, to pisał je człowiek myślący bardzo logicznie; w przeciwnym przypadku piszący ulega łatwo wrażeniom i od nich czyni zależne swoje powzięcia.

Nasze ryciny.

Malborg.

(Patrz rycinę albumową.)

Celem uczczenia należytego rocznicy grunwaldzkiej daliśmy w lipcu r. b. w numerze jubileuszowym piękny obraz kolorowy Jana Matejki „Bitwę pod Grunwaldem“, a dziś zamieszczamy w dalszym ciągu drugi ładny kolorowy obraz „Malborg“ z nadmienieniem, że jeszcze zamieścimy w „Pracy“ cały szereg ślicznych albumowych kolorowych obrazów historycznych. Następny obraz „Płowce“ damy w numerze 39-ym.

Niejednokrotnie już o Malborgu pisaliśmy w „Pracy“, więc dzisiaj ograniczamy się na następującej notatce:

Malborg po niemiecku Marienburg (tj. gród Panny Maryi), miasto w Prusach Zachodnich, leży na prawym brzegu Nogatu (wschodniej odnogi Wisły) i liczy 12,000 mieszkańców. Miasto to założone przez Krzyżaków, było przez wieki siedzibą Wielkich Mistrzów, którzy zbudowali tam wspaniały zamek, wzór sztuki gotyckiej. Zamek odnowili królowie pruscy w XIX. wieku.

Od połowy XV. wieku (1466) należał Malborg do Polski, a w zamku mieszkali wojowodowie malburscy.



Zwierzenia.

Dział kobiecy.

Nowoczesne Pytye.*)

Wróżenie z kart lub ręki, to wyzyskiwanie łatwowiernych, kwitnie w wszystkich krajach i po wszystkie czasy. Jest to zawód oszustek, wobec których nawet policya staje się bezradną — wszakże ludzie płacą dobrowolnie tym, które im „wróżą“ i w dodatku sami wróżek szukają. Rzadko kiedy spotkać można osoby, któreby się czuły poszkodowanemi przez karciarki, bo zręczne te kobiety umieją przepowiedniom swoim taką nadać formę, że wszystko albo się spełnić musi, albo się z biegiem czasu spełnić może.

Tylko jeżeli czasem zbyt śmiała karciarka zbyt bezczelnie naiwną wyzyska osobę i wysokie od niej sumy pieniężne wyłudza, przyrzekając jej naprzykład zdobycie serca jakiegoś młodzieńca i t. p. wtedy jest oszukaństwo udowodnionem i poszkodowana może żądać ukarania oszustki. Ale wróżenie samo nie jest karygodnem, i dla tego kwitnie tak w miastach jak i po wsiach. W wielkich mianowicie miastach są karciarki, które rozsyłają karty reklamowe po domach i do których publiczność tłumnie chodzi. I to nietylko osoby niższych klas — przeciwnie — panie z najlepszego towarzystwa wierzą w te niedorzeczności, i chodzą i jeżdżą jawnie i potajemnie do owych delfickich kapłanek, które mają wyznaczone godziny przyjęcia i dużo zarabiają pieniędzy.

W Paryżu, Londynie, Berlinie i t. d. są karciarki, które już za 25 fen. udzielają służącym swej mądrości, są jednak i takie, które niżej 10 marek nikogo nie przyjmują. W zachodniej części Berlina zwracała na siebie przed kilku laty pewna karciarka ogólną uwagę — najwytworniejsze panie chodziły do niej i umiejętność jej przepowiadania przeszłości, teraźniejszości i przyszłości rzeczywiście była zdumiewającą. Modna Pytya przyjmowała panie w ładnie urządzonym, lecz przyciemnionym pokoju, siedząc na fotelu z twarzą zasłoniętą grubym woalem, tak, że nie było można dojrzeć ani czubka nosa. Żadna z klientek nie mogła jej poznać. Panie musiały usiąść na niskim taborecie i podać jej rękę — wróżyła więc najpierw z ręki, potem z kart. I z nieomylnością, przerażającą niektóre panie, opowiadała im wszystko, co się w domu u nich działo, dzieje i dziać będzie — mówiła, ile każda ma dzieci, gdzie bywa, jak żyje z mężem i t. p. Nic dziwnego zatem, że panie powzięły do niej nieograniczone zaufanie i że płaciły wysokie sumy za tak bajeczne przepowiednie.

Zkąd jednak czerpała owa zadziwiająca Pytya swoich wiadomości? Otóż karciarką, zawoalowaną, tajemniczą, odgrywającą rolę starej, czcigodnej matrony, była młoda, przebiegła fryzyerka, która co rano chodziła

*) Najsławniejsza wyrocznia w starożytnej Grecyi znajdowała się w Delfach. Z całego świata ludzie jeździli szukać w Delfach rady i przepowiedni; wysyłali tam dotąd posłów nawet królowie i państwa. Przepowiedni tych udzielała kapłanka, zwana Pythią (czytaj Pytyą) która siadała nad rozpadliną, skąd się gaz odurzający wydobywał, i mówiła jakieś słowa, które kapłani układali w dowcipne zdania, zazwyczaj tak, że je w różny sposób można było zrozumieć. Ci kapłani delficcy byli to bardzo mądrzy ludzie, znali dobrze cały świat grecki i umieli nieraz dawać dobre rady.

od domu do domu i czesała panie z najlepszego towarzystwa. Polecała im gorąco karciarkę, o której prawdziwe słyszała cuda, a że miała rzeczywiście dar spostrzegawczy i dobrą pamięć, przeto mogła wieczorem bardzo dobrze odgrywać rolę karciarki. Fryzyerka słyszy i widzi niejedno w domu, w którym codziennie bywa, od czego zresztą służba, którą łatwo o wszystko wypytać można! Latem uprawiała owa zręczna dziewczyna ten sam sport w Heringsdorfie, gdzie panie, znudzone jednostajnością życia u wód, tem chętniej rozrywki szukają i w braku innej — do karciarki idą! Ale tam skończyły się dobre czasy fryzyerki — jedna z pań poznawszy ją po głosie, opowiedziała jej nazajutrz rano podczas czesania jakiś wypadek zmyślony i wieczorem usłyszała to samo z ust karciarki! Pytya wpadła w zastawione sidła i znikła z Heringsdorfu bez śladu. W tym wypadku byłoby jej można udowodnić oszukaństwo, ale któraż z oszukanych pań zechce się z tem włóczyć po sądach i policyach!

Zdarza się też często, że karciarki zawierają ugodę z służbą, płacąc za każdą wiadomość oznaczoną cenę.

Technika wróżenia bywa bardzo rozmaicie wykonywaną. Najwięcej używanem bywa kładzenie kart. Pique oznacza zawsze żałobę, smutek i nieprzewidziane nieszczęścia, coeur jest kartą wszelkiego szczęścia i znaczy zaręczyny, wesele i radość. Trefl zwiastuje wygrane w loteryi, sukcesye, caro zaś jest oznaką kłótni i nieprzyjemności. Każda karta osobne ma znaczenie — as coeur — to list z pieniędzmi, as caro list z złą nowiną. Jeżeli owa karta leży w blizkości króla trefl — (rozkłada się wszystkie karty w 4 rzędy po 8) to nieprzyjemny list będzie od męża lub narzeczonego.

Do wróżenia z kart używają karciarki zupełnie innych kart, najwięcej t. zw. Lenormand, (sławnej wróżki francuskiej), pomimo, że lepsze wróżki śmieją się z tego i używają zwykłych kart francuskich lub niemieckich.

Chiromantki są najwytworniejszemi wróżkami, chiromancya**) bowiem ma pewne naukowe znaczenie. W wiekach średnich brano ją zbyt na seryo i znamy kilku nawet historycznych chiromantów. Że dobry psycholog z pobieżnego nawet obejrzenia ręki, z kształtu jej, delikatności, uścisku, odgadnąć może zajęcie i temperament właściciela ręki, to zupełnie jest jasnem i żadnych nie wymaga studyów.

Wróżki przepowiadają też między innemi z jaja. Klientka musi jaje trzymać dosyć długo w ręku, dopóki się skorupa nie rozgrzeje, potem rozbija je i wrzuca żółtko w wodę. Dodać należy, że za każde jaje trzeba płacić osobno, i że wróżka ma nieraz obfitą i tanią jajecznicę dla całej rodziny.

W Berlinie wytoczono niedawno proces pewnej karciarce o oszustwo — przyczem się wydało, że przebiegła ta kobieta miała miesięcznego dochodu 500—600 mrk., i wspaniale urządzone mieszkanie. Jak widać, zajęcie łatwe i donośne. Byli, są i będą tacy — których rodzaj podobno nigdy nie wymiera, a kto liczy na dobre serce bliźnich, na próżność i na — naiwność, ten nigdy się nie omyli.

* * *

„Wszystko mi jedno.“

Są dzieci, które — jeśli się je zapyta „chcesz jabłko?“ albo „chcesz pójść na spacer“, odpowiadają: „wszystko mi jedno.“ Na taką odpowiedź krew się burzy; mimowoli odtrącić się chce takie dziecko. Naturalnie — chętnie jabłko przyjmują i na spacer chętnie pójdą, ale myślą, że to jest grzecznie i że w dobrem świetle siebie stawiają dając podobną odpowiedź, a właściwie, może temu nie winne, może je nauczono, że przyzwoiciej jest dawać nieokreśloną, niepewną odpowiedź; w rzeczywistości jednak jest to niegrzecznie i niesumiennie, odpowiadać w ten sposób.

Zdarza się to i u dorosłych, nawet częściej u mężczyzn aniżeli u kobiet, że niepewnie odpowiadają na jakie pytanie, że — nie są „za tem“ — ale doprawdy i nie „przeciw temu!“ „Pan lub pani masz racyę“ — ale i tamten który wprost coś przeciwnego dowodzi — „ma racyę“. Zapytany, za czemże właściwie głosuje, — wzrusza ramionami. Tacy poczęści naprawdę nie wiedzą jakie są ich zapatrywania, albo też nie chcą narazić się żadnej partyi. (Jest to zupełnie to samo, co z owem jabłkiem u dziecka). Podobne zachowanie, sprzeciwia się nietylko dobrym zasadom wychowania, ale znamionuje brak — charakteru uczciwego. Są rzeczy i pytania, na które szczery i z charakterem człowiek, nie powinien inaczej odpowiedzieć jak potakująco lub zaprzeczeniem. Jeżeli nie wie czego chce, i co ma odpowiedzieć, to rzuca to na niego wcale nie dodatnie światło.

Taki nie zechce również wiedzieć, że obowiązkową pracę ma rzetelnie wykonać, a zatem nie wie, czy ma być w całem swem postępowaniu we wszystkiem, uczciwym, — czasami też zawaha się, czy byłoby to bardzo... złem, gdyby to lub owo co mu się podoba, do kieszeni schował... gdy nikt nie zobaczy.

Jeżeli ktoś wzrusza ramionami na wyrzut niedotrzymania danego słowa lub też robi zdziwioną minę na wymówkę, że polecenia nie spełnił, do którego się obowiązał; jeśli ktoś zgadza się, podobają mu się szlachetne zasady, ale sam wbrew tymże postępuje, a upomniany, gniewa się, taki jest doprawdy na najlepszej drodze stania się nicponiem. Wyrobienie stanowczości w postępowaniu zależy głównie od rodziców, a jest wielką częścią dobrego wychowania i wyrobionego charakteru, który należy okazywać zawsze dzieciom; nigdy nie zmieniać bez nieprzewidzianych przeszkód powziętych zamiarów, nigdy nie wahać się w zdaniu, raz objawionego nie poddawać żadnym wpływom, karcić dzieci za takie „nie wiem“, bo już dzieci powinny zawsze wiedzieć czego chcą a czego nie chcą, — a właściwie nie dzieci winne, jeśli w ten sposób odpowiadają, tylko rodzice, że pierwszą taką odpowiedź mimo uszu puścili, nie wytłómaczywszy, jaki w tych dwóch słowach tkwi brak wychowania a początek wszystkiego złego, bo fałszu.

Chłopiec pokochał.

Chłopiec pokochał dziewczynę,
Ta go darzyła uśmiechem,
Nie myśląc wcale, że uśmiech
Może być winą i grzechem.

Przecież modliła się codzień
I była bardzo nabożna,
O każdą skazę swej duszy
Jak biały gołąbek trwożna.

Aż ktoś podsunął przestrogę,
Czy dobrze względy swe liczy?
Lecz mu odparła coś na to
O wesołości dziewiczej.

Potem dodała naiwnie,
Że być nie umie okrutną,
Że traci humor swój cały,
Gdy widzi czyją twarz smutną.

I w niezmieszanym spokoju
Zmieniła z innym obrączki,
Chłopiec zaś dostał łaskawie
Uścisk malutkiej jej rączki.

Poszła szczęśliwie swą drogą,
Uśmiechy rozrzucająca,
Pewnie tak będzie wesołą
I miłą do dni swych końca.

*) Chiromancya jest to sztuka wróżenia z inji, które spostrzegamy na dłoni ludzkiej.

Chłopiec pozostał zbolały,
Żałość ściskała go cicha,
Bo gorycz ostrą jak piołun
Wypił z przeznaczeń kielicha.

Choć więc nie kochał już zwodnej,
Która mu serce rozdarła,
Między nim biednym a szczęściem
Stanęła miłość umarła.

I z piedestału strącony
Dawny ideał niewieści,
Który się zaćmił i zczerniał,
Pod cierpkim wpływem boleści.

A chociaż nie zwątpił jeszcze,
W prawdę uczucia na świecie,
Wierząc, że silne i święte
Może bić w sercu kobiecie,

Sam go wydostać nie umiał
Z piersi odrazu już starej,
Gdy każdy uśmiech uroczy
Badał skalpelem niewiary.

Trzy znaki krzyża.

Zdarzenie prawdziwe.

I.

A więc jutro przyjeżdża, dzieci! Sprawcie się dobrze, nie zróbcie mi wstydu! I jeszcze jedno! Czy odmawiacie codziennie „Ojcze nasz,“ prosząc Ducha świętego o oświecenie dla mnie, dla was, jak wam to przykazałem?“

Przeszło pięćdziesiąt rączek dziecięcych podniosło się na to pytanie sumiennego i gorliwego katechety, przeszło pięćdziesiąt głosów zawołało: „Tak, proszę księdza katechety!“

Oczy błyszczały mu radością, gdy po raz ostatni pytał dzieci katechizmu. Czeka je egzamin nielada, jutro biskup przyjeżdża! Sumiennie sprawował swój urząd nauczycielski, a malcy jego były to dzieci poczciwych górali. Każdego popołudnia niedzielnego egzaminowali je rodzice z katechizmu.

Katecheta wypytywał najpierw najmłodsze dzieci z historyi biblijnej, później przechodził z większemi katechizm, rozdział po rozdziale. Nie potrzebował obawiać się zawodu i rozczarowania. A przecież, nadzieje ludzkie często tak zwodnicze!

Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany z drżeniem. Przyjęto biskupa z serca płynącemi oznakami czci: bramą tryumfalną, muzyką, strzelaniem, a orszak biało ubranych dziewcząt wprowadził go do kościoła. Po krótkiej przemowie do wiernych w kościółku wiejskim, udzielał biskup Sakramentu Bierzmowania z niestrudzonym zapałem. Niejeden biskup opłacił już zdrowiem i życiem to wykonywanie swego urzędu apostolskiego. — Po ukończonem bierzmowaniu nastąpił egzamin z religii.

Ksiądz katecheta przygotował dobrze małą swoją armię, to też zwycięstwo przypadło mu w udziale, jak długo sam zadawał pytania. Inaczej stało się jednak, gdy ksiądz biskup pytać zaczął. Bojaźń i poszanowanie, jakie dzieci uczuwały dla biskupa, zamykały im usta. Nie zdziwiło to biskupa, wiedział bowiem, że serca dziecinne pełne są lęku wobec czegoś niezwykłego. Zręcznie zadawanemi pytaniami naprowadzał dzieci sam na właściwą odpowiedź. Ale raz przecież się zdumiał. A stało się to w ten sposób:

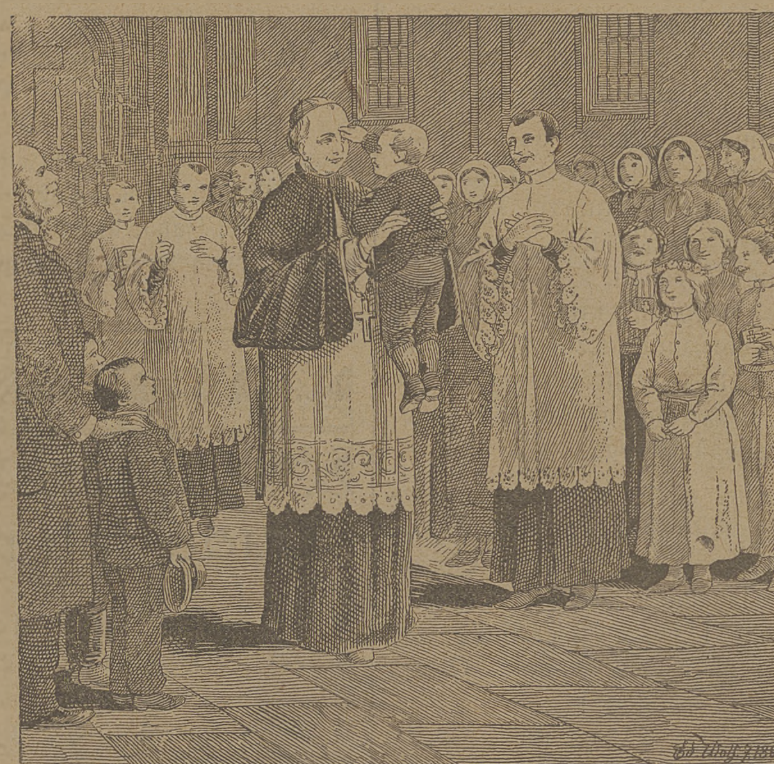
Do Jędrusia Trowarza, zdolnego chłopca z pierwszej klasy, stojącego na przedzie, rzekł biskup: „Zrób mi znak krzyża świętego!“ — Chłopiec odrzekł na to z cicha: „Nie zrobię!“

Wiadomo było biskupowi, że w niektórych okolicach wyrażenie „nie zrobię“ znaczy to samo, co „nie umiem,“ lub „nie potrafię,“ spodziewał się więc wydobyć z chłopca jeszcze właściwą odpowiedź. Ale katecheta, na tę odpowiedź chłopca oblał się żywym rumieńcem, trochę zawstydzony, a więcej jeszcze — zgniewany!

Uśmiechając się z dobrocią, rzekł biskup do chłopca: „A dlaczego nie zrobisz?“ I usłyszał istotnie to, czego się spodziewał. „Bo nie mogę!“ wyjąkał Jędrek nieśmiało, obracając w rękach kapelusz i patrząc szczerze w oczy biskupa.

„Co się dziś stało temu żakowi, że się naraz ani przeżegnać nie umie!“ mruczał do siebie siedzący w ławce Trowarz, ojciec Jędrka.

Żeby wiedzieli wszyscy ci „rozsądni,“ jak jasno i mądrze myślał Jędrek w tej chwili! Ale mieli się wnet dowiedzieć, a wraz z nimi i ks. biskup. Gdy bowiem począł rozpytywać chłopaka, usłyszał odpowiedź: „Nie mogę, bo nie dostanę tak wysoko!“ Nowe zdziwienie. Czyżby chłopczyna miał sparaliżowaną rękę, że nawet swego czoła dosięgnąć nią nie może? Nikt przecież dotychczas nie wiedział o tem!



„Zróbże mi teraz znak krzyża“.

Wtem Jędrek ośmielony, wyrzekł nagle: „Ja nie dostanę do czoła księdza biskupa!“ — Zrozumieli wreszcie. „Zrób mi znak krzyża świętego!“ rzekł pasterz duchowny... Chłopiec zrozumiał żądanie dosłownie i odpowiedziami swemi wykazał niedokładność pytania egzaminatora. Może on się teraz rozgniewa? Wprost przeciwnie.

Głęboko wzruszony zastępca Tego, który niegdyś z miłością przygarniał dziatki do siebie, podniósł Jędrka w górę i rzekł łagodnie: „Masz słuszność, malcze, zróbże mi teraz znak krzyża!“

I świętym znakiem zbawienia naznaczyło dziecię mężczyznę, młodość wiek sędziwy, owieczka swego pasterza! Łkanie wzruszenia rozległo się po kościółku w tej chwili, której może aniołowie niebiescy przyglądali się z radością!

II.

Niezwykły ruch dzisiaj w rezydencyi biskupiej. Plac przed katedrą, otoczoną średniowiecznemi zabudowaniami, zapełniony tłumem ludzi, wśród którego znajdowało się zwłaszcza wiele dzieci. — To Zielone Świątki, dzień Ducha św., a biskup udziela w katedrze Sakramentu bierzmowania. Z dalekich wiosek górskich zeszedł się lud pobożny, prowadząc z sobą dziewczęta i chłopców, aby im następca Apostołów dotknięciem rąk udzielił łaski Ducha św., aby ich Krzyżmem św. wzmocnił na gorzką częstokroć walkę tego życia ziemskiego. Sakrament ten miał z garstki młodzieży zrobić bojowników wiary, zgromadzić ich pod zwycięskim sztandarem Chrystusa.

W ostatnich rzędach posuwali się studenci miejskiego gimnazyum, a wśród nich także — Andrzej Trowarz. Mądrą odpowiedzią, daną przed laty na egzaminie z religii, zwrócił na siebie uwagę biskupa, który zajął się nim. Obecnie, umieszczony w biskupim zakładzie wychowawczym dla chłopców, przygotowuje się do świętego stanu kapłańskiego.

Wzruszony do głębi serca namaszcza biskup czoło studenta Olejem św. w kształcie krzyża, a drżącym głosem mówi uroczyście i powoli: „Znaczę cię znakiem krzyża i bierzmuję cię krzyżmem zbawienia, w imię Ojca i Syna i Ducha świętego!“

Wspomnienie owego dnia, kiedy chłopiec ten, wówczas malec, naznaczył jego samego znakiem krzyża św., wzrusza biskupa do tego stopnia, że zaledwie łzy powstrzymać może.

III.

Złowroga cisza cięży nad biskupią rezydencyą. Okna zasłonięte w sypialni sędziwego duszpasterza dyecezyi, chociaż to jasny dzień — słoneczne przedpołudnie. Przed domem i w jego krużgankach szeptem objaśniają pytających słudzy i księża o stanie zdrowia ukochanego księcia Kościoła. Ale wiadomości jak najgorsze: „Dziś jeszcze umrze, w każdym razie.“ Właśnie kazał przywołać nadwornego kapelana, aby go namaścił Olejem świętym i udzielił mu ostatniego rozgrzeszenia.

Podąża już poważny pochód księży. Na przedzie kanonicy, po większej części pochyleni wiekiem. Młody kapłan, w komży i ze stułą na ramionach, niesie w swych poświęconych rękach naczynie z Olejem św.

Milcząc z niemem nabożeństwem spogląda lud na tę małą procesyę, udającą się szerokiemi schodami do sypialni konającego. Odmówiono już modlitwy przygotowawcze, a teraz jeden po drugim przystępują księża do łóżka, otaczając je w koło. Andrzej Trowarz — to imię kapelana nadwornego — przystępuje do tego, który był mu zawsze więcej przyjacielem i dobroczyńcą, niż przełożonym. Ze łzami w oczach całuje stygnącą rękę biskupa i jak ongi, przed laty piętnastu, znaczy czoło jego znakiem krzyża, namaszczając je Olejem św.

Niebiański uśmiech okrążył usta starca. — O Boże, niezbadane są wyroki Twoje! Niech będzie imię Twoje pochwalone! — wyszeptał i pada na poduszki. Rozpoczęło się konanie. Kapelan udzielił konającemu ostatniego błogosławieństwa. — Wkrótce dusza wiernego ucznia Chrystusowego odeszła do tej błogosławionej krainy, gdzie ujrzała Pana swego w niespożytej chwale, Pana, który drzewo hańby, krzyż, krwią swoją przemienił w znak zbawienia.

Cuda fakirów.

W ciekawej książce „Fakirowie w starożytnych i współczesnych Indyach“ zebrał autor niemiecki p. Schmidt bogaty materyał o fakirach-joginach. Na fakirów w ogólności zapatruje się autor sceptycznie, uważając ich za sprytnych oszustów, nic nie mających wspólnego z jakąkolwiek siłą nadprzyrodzoną; wyjątek wszakże stanowią właśnie joginowie, których nauka zasługuje bezwarunkowo na zbadanie umiejętne.

P. Schmidt opisuje doświadczenia niejakiego Hassana-Kana, który zresztą nigdy nie był fakirem z zawodu, ale czasem w ciasnem kółku osób dokonywał istotnie rzeczy niezwykłych. Zalecał na przykład jednej z osób obecnych prosić o wino; należało wtedy wyciągnąć tylko rękę za drzwi lub pod stół, a w tejże chwili w ręku znajdowała się butelka z etykietą znanej w Kalkucie firmy; tą samą tajemniczą drogą ukazywały się ciastka, cygara etc. Hassan równie chętnie pokazywał to w wagonie, w podróży. Ciekawe „cuda“ niejakiego Gowindoswanma opisuje jeden z naocznych świadków seansu:

Rozsypaliśmy drobny piasek po podłodze, ja zaś usiadłem przy stole, mając w ręku ołówek i arkusz papieru białego; fakir położył ostrożnie laskę drewnianą na piasku i oznajmił mi: W chwili, gdy laska podniesie się, możesz rysować, co zechcesz, na papierze, ona odda rysunki twoje na piasku. — Fakir wyciągnął rękę przed siebie, laska zaczęła się poruszać i znaczyć na piasku najwyszukańsze rysunki, kreślone przezemnie na papierze. Gdy zatrzymałem się, laska stawała nieruchomo, próbowałem zakrywać swoje rysunki, ale nie miało to żadnego wpływu na tajemniczą laskę. Fakir stał z daleka, oparty o ścianę.

Jeszcze ciekawszem jest następujące doświadczenie: Fakir bierze kłębek i podrzuca go w górę, od tego ruchu kłębek się rozwija, jeden koniec liny zwiesza się na ziemi, drugi gubi się w przestrzeni wobec zdziwionego tłumu. Wtedy fakir rozkazuje małemu chłopczykowi wleźć po linie w górę, chłopak zręcznie podskoczył i wkrótce znikł w wysokościach, fakir kilka razy rozkazuje chłopcu wracać, ale napróżno. Wreszcie schwyciwszy nóż sam podnosi się po linie i znika z oczu widzów. Tak trwa kilka minut... Z góry dolatują rozpaczliwe krzyki i spadają kolejno: okrwawione głowa, ręce, nogi, tułów nieposłusznego chłopca. — Tłum z trudnością hamuje swe oburzenie, fakir zaś, jakby chcąc naprawić skutki swego niepohamowanego gniewu, składa starannie członki dziecka, które w oczach widza zrastają się, nabierają życia i wkrótce stoi przed czarodziejem uśmiechnięty chłopczyna.

To przedstawienie urządzali Joginowie nieraz. Jest ono szczegółowo opisane w protokóle, podpisanym przez licznych świadków tego dziwnego zjawiska. Jakież byłoby ich zdziwienie, gdyby zobaczyli fotografię Amerykanina, ilustrującą te objawy: w najtragiczniejszej chwili, fakir i jego mały towarzysz siedzą nieporuszeni na ziemi, i oprócz nich nic nie widać. Otóż fakir tylko opowiada, co ma się zdarzyć, a publiczność, pod wpływem słów jego i zaklęć, widzi niestworzone rzeczy. Mniej nerwowa błonka fotograficzna nie mogła się poddać suggestyi czarodzieja. Publiczność zaś była zahypnotyzowana. Tak tylko można sobie to zjawisko wytłómaczyć.

Sędzia francuski w Chandernagor, p. Jacolliot, opowiada jeszcze o innem doświadczeniu, tym razem jednak niesprawdzonem fotograficznie. Fakir postawił na środku pokoju małą miedniczkę, której używają w Indyach do palenia wonności, a napełniwszy ją ziołami aromatycznemi, zaczął wymawiać zaklęcia. Sam stanął nieruchomy, jedną ręką oparty o kij bambusowy, drugą trzymał przy sercu. Sądziłem, że jak w poprzednim seansie, wpadnie w

sen kataleptyczny, ale nie. Widziałem, jak od czasu do czasu przykładał rękę do czoła. Naraz uczułem wstrząśnienie, a pokój napełnił się mgłą o fosforycznem świetle. Zwolna we mgle zacząłem rozróżniać szereg rąk, niektóre jakby przezroczyste, inne naturalne. Naliczyłem 16 rąk. Właśnie w chwili, gdy chciałem zapytać fakira, czy mogę dotknąć ręki, jedna z nich wysunęła się z szeregu i uścisnęła moją. Była mała, miękka — jakby ręka kobiety. Te objawy trwały parę godzin. Jedna ręka rzucała kwiaty, inna gładziła mnie po twarzy, inna kreśliła na ścianie niezrozumiałe wyrazy, które jaśniały jaskrawem światłem, by po chwili zgasnąć...

O przebiegłości zwierząt.

„Revue“ zamieściła artykuł Henryka Coupin'a, poświęcony zdolnościom zwierząt i celowemu zestawieniu związku między przyczyną i skutkiem. Jest bardzo wiele sprawdzonych obserwacyj, które stwierdzają, że koty się wyuczyły otwierać drzwi. Chcąc to uskutecznić, zbliżają się do drzwi, wskakują na klamkę, naciskają na nią łapką, podczas gdy tylnemi zapierają się o ramę drzwi. Uzyskują w ten sposób bardzo łatwo cel zamierzony. Couch opowiada nawet o kotce, którą podpatrzono przy otwieraniu drzwi do spiżarni, by się dostać do mleka. Uderzała łapką tak długo w klucz, aż się otworzył zamek lekko funkcyonujący. Arcybiskup z Wathley opowiada o kocie domowym, który każdym razem chcąc wyjść, dzwonił na służącego, by mu otworzył drzwi. Pierwszej próby dokonał o północy. Dzwonek zaalarmował wówczas cały dom. Przypuszczano, że to włamywacz. Niemałem było rozczarowanie, gdy się przekonano, że to kot zadzwonił. Z czasem kot przyzwyczaił się do dzwonienia. Rae opowiada o małym terrierze angielskim, własności jego przyjaciela. Ten mądry pies wyuczył się dzwonić na rozkaz na służącą. Właściciel psa, chcąc się przekonać, czy zwierzę rozumie cel dzwonienia, rozkazał pieskowi, by zadzwonił na służącą, podczas gdy ona znajdowała się w pokoju. Ale roztropny terrier nie ruszył się wcale i wodził oczyma z pana na służącą. Gdy służąca opuściła pokój, powtórzono rozkaz; pies podskoczył natychmiast do dzwonka, by wykonać rozkaz pana. Obserwowano również bardzo często psy i koty, które podpatrując, uczyły się kołatać do drzwi.

Dureau de la Malle opowiada, jak jego terrier zrozumiał używanie kołatki, przypatrując się jej użyciu. Zwierzę nie miało poprzednio nigdy sposobności widzieć kołatki. W czasie jednego z spacerów po Paryżu terrier, zmęczywszy się, pobiegł sam do domu. Drzwi były zamknięte. Pies szczekając, starał się nadaremnie o otworzenie mu drzwi. Przypadkowo nadszedł jakiś pan, który zapukał. Terrier skorzystał z otworzenia drzwi, by wśliznąć się do domu, ale nie zapomniał nauczki; jeszcze tego samego popołudnia wychodził kilkakrotnie z domu, a wróciwszy poruszał kołatką, by spowodować otworzenie mu drzwi. Jeszcze bardziej zajmującem jest zdarzenie z przebiegłym kocurem, o którym doniósł współpracownik czasopisma angielskiego „Nature“. Właściciel kocura sypał porą zimową w ogrodzie okruszyny chleba dla ptaków. Kocur zauważył wkrótce, że to ściąga wróble. Każdym razem w czasie sypania okruszyn chował się w pobliżu pod krzakiem, by potem próbować mniej lub więcej szczęśliwych napadów. Pewnego dnia nasypano okruchy dopiero wieczorem. W nocy spadł śnieg, pokrywając grubą warstwą pożywienie dla ptaków. Następnego dnia rano właściciel domu zauważył ku swemu żdziwieniu, że jego ładny kocur czarny odgarniał starannie śnieg. Wydobywał z pod śniegu okruchy i układał kawałek po kawałku na uboczu. Po dokonanej robocie zaczaił się, jak zwyczajnie pod krzakiem. W ciągu zimy obserwowano często, jak kocur przygotowywał w ten sposób przynętę dla wróbli.



„Znaczę cię znakiem krzyża!“
(Patrz opowiadanie p. t. „Trzy znaki krzyża“.

Z dziedziny hygieny.

Czy szybkie bieganie jest zdrowe?

Każdy, kto widział szybkobiegacza, dobiegającego ostatnim wysiłkiem jako pierwszy do celu, wyrabia sobie przedwczesny sąd, że szybkie bieganie i zawody w bieganiu nie mogą być zdrowemi. Od czasu do czasu odzywają się po ważniejszych zapasach wyścigowych pieszych, głosy, zwalczające tę gałąź sportu. Mniemanie, jakoby szybkie bieganie było szkodliwem, jest niczem innem, jak tylko przesądem. Nieszkodliwość tego sportu uzasadnia w artykule ogłoszonym w „Popular Sciense Monthly“, Amerykanin Chas E. Hammett, docent uniwersytetu. Twierdzenie swoje opiera na badaniach przez dziesiątki lat. Jego materyał, nad którym pracował, składał się z sprawozdań lekarskich i obserwacyj, jakich dokonywał na setkach szybkobiegaczy z pomiędzy akademików amerykańskich, którzy się bardzo chętnie oddają temu sportowi. Obserwował nietylko takich, którzy jeszcze hołdują sportowi, lecz także starszych panów, nie uprawiających więcej tego sportu od przeszło trzech dziesiątek lat. Szkodliwość szybkiego biegania odnosiłaby się przedewszystkiem do serca i płuc. Tymczasem Hammett udowadnia, że ani serce, ani też płuca nie ponosiły naj-

mniejszej szkody, jeżeli biegacz trenował się systematycznie i rozsądnie. Występują one tylko u młodzieńców, a przedewszystkiem u tychże poniżej lat szesnastu, jeżeli się trenują na zbyt wielkie odległości. Przejściowe zaburzenia w czynności serca lub płuc Dr. Hammett obserwował tylko w nielicznych wypadkach. W przeciwstawieniu do tego konstatował u szybkobiegaczy dodatnie skutki tego sportu. Dziewięć dziesiątych z pomiędzy badanych stwierdziło korzyści tego sportu. Zaledwie pięciu na stu nie mogło niczego stwierdzić, a tylko pozostała reszta odmawiała temu sportowi skutków dodatnich, ale też i nie mogła stwierdzić jego szkodliwości. Szkodliwe następstwa konstatował tylko u tych ludzi, którzy się trenowali nieregularnie i chcieli stawać do zawodów po trainingu, nie trwającym nawet dziesięciu tygodni. Jednakże trenujący się regularnie przez pół roku albo dłużej, pozostawali zupełnie zdrowymi, nawet przy trenowaniu choćby przez przeciąg piętnastu lat. Hammett zaznacza też wypadek nadzwyczajnie zajmujący. Jeden z atletów lekkich opowiada nietylko o sobie, lecz także o ojcu swoim, liczącym 61 lat. Ten ostatni pomimo takiego wieku przebiegnie ćwierć mili angielskiej w niecałej minucie. Jest to niezwykła zdolność, ponieważ z pomiędzy 100 ludzi przeciętnych, wybranych na ulicy, 99 nie przebiegnie tej przestrzeni 400 metrów w jednej minucie. Hammett nie rozciąga swych badań, które uważa za ukończone, na bieg tak zwany Crosscountry i nie wydaje też o nim swojego sądu. Dodaje jednak w końcu na podstawie swych badań, że gwałtowne przerwanie trainingu i całkowite zaniechanie biegania nie szkodziły wcale sercu ani też płucom.



Ze łzami w oczach całuje stygnącą rękę biskupa i jak ongi, przed laty piętnastu znaczy czoło jego znakiem krzyża.
(Patrz opowiadanie p. t. „Trzy znaki krzyża“.

Władysław Długołęcki.

Czy Ty pamiętasz?...

Czy Ty pamiętasz, jak w szarym świecie,
Gdy wszystko jeszcze snem spokojnym
spało,
Gdy gwiazdy bladły na niebios błękicie,
A wszystko nocy urokiem dyszało...
Opary zlekka snuły się po łące...
I szliśmy razem po rozmiękłej ziemi,
Strząsając rosy kropelek błyszczące,
Co migotały barwami krasnemi
Wschodzącej zorzy wielkiej, purpu-
rowej,
Oznaczającej kres nocy czerwcowej.
Już księżyc stawał się mało widzialny
I gwiazdy gasły. A u lasu końca
Pokazał się mały, ledwo dostrzegalny
Rąbek ognisty czerwonego słońca.
I wnet promienie błysnęły gorące,
Padły na łąki, na lasy szumiące.
I szliśmy razem ramię przy ramieniu,
Wiatr delikatnie pieścił Twoje włosy
I dwie jedwabne rozplecione kosy
Słońce kąpało w promieni płomieniu...
Czy Ty pamiętasz jasne dni jesienne,
Kiedy nie było chmurki na błękicie,
Gdy Twoje oczy niebieskie, promienne
Tak wyglądały jak niebios odbicie.
Kiedy tak szliśmy przez pożółkłe
rżyska,
A ty łowiłaś rączkami małemi,
Srebrzyste nici, co płynęły zbliska,
Igrając w słońcu barwami cudnemi,
Jak nas te cienkie pajęczyny nici
Misterną siatką wokoło spętały.
Tą delikatną zasłoną spowici
Szliśmy weseli, jak gdyby świat cały
Dla nas jedynie był tylko stworzony...
Czy Ty pamiętasz te wieczory mgliste,
Gdyśmy siadali pod nasz ulubiony
Stary kominek. I kiedy ogniste
Pryskały głownie—myśmy przytuleni,
Patrząc wciąż w oczy marzyli rozko-
sznie,
Nie widząc znikąd żadnych mglistych
cieni
Tylko o szczęściu marzyliśmy wiośnie...
Więc chociaż teraz los dłonią okrutną
Tak nas porzucił pośród obce twarze,
Ja nie zapomnę i wciąż pytam smutno—
Czy Ty pamiętasz to, o czem ja marzę?
Poznań, w sierpniu 1910.

Pierwsza lekcya śpiewu.

(Humoreska.)

...Tak, moi panowie, wykształcić głos prawidłowo — to nie w kij dmuchał, nie kot zapłakał, i nie karaluch... zresztą już nie pamiętam, co tam zrobił ten karaluch... Doświadczyłem tego na sobie, daję wam słowo, i brzuchem i plecami i gardłem...

Do tej brzydkiej sprawy zaprosili mnie, czy dacie wiarę moi bliscy znajomi, u których na licznych familijnych zebrańkach, niekiedy, ot tak sobie zaśpiewałem: „Hej koledzy“, „Nie kuś mnie“, „O, podły świecie“ i tym podobne domowe aryjki. Otóż poczęli oni wmawiać we mnie bezustanku: masz głos, masz głos i masz głos. Zważ tylko — mówili — teraz wszędzie odkrywają głosy. Ot, był sobie np. zwyczajny adwokacina, lub gryzipiórek biurowy, albo piekarz czy też krawiec lub nauczyciel kaligrafii, aż tu, ni stąd ni zowąd odkryto w nim głos i teraz tysiące zgarnia i sławę ma wszechświatową! Głównie zaś: głos tylko trzeba na czas wykształcić prawidłowo. Idź do profesora Leopardi'ego, ten ci głos cudnie wyszkoli... Pierwszy maestro...

I oto, czy dacie wiarę, poszedłem.



Zgodne stadło.

Wchodzę. Przyjmuje mnie sam profesor we własnej osobie. Taki, wiecie państwo, tęgi jegomość, Włoch, podstarzały, wysoki, na głowie grzywa, na nosie złote binokle, bródka hiszpańska.. Pogawędziłem z nim o tem i o owem, między innemi także o tem, że sztuka śpiewu — jest to wielka sztuka, bo wykształcić głos prawidłowo, to nie w kij dmuchał i nie pomidory marynował i tak dalej, i że najważniejszem w tej sztuce jest: cierpliwość i pilność.

Poczem maestro pyta:

— Zatem zaczniemy?

— Zaczniemy, panie profesorze.

— Ti gotowe?

— Naturalnie! — odpowiadam z wielką pewnością siebie.

— Zupełnie gotowe?

— Oczywiście!

— Spróbujemy na początik diafragma. W górę głowę!

Nie zdążyłem nawet mrugnąć okiem, aż tu jak nie huknie mnie kułakiem w podbródek. Aż mi się coś w żołądku oderwało... Rozdziawiłem gębę — ani rusz nie mogę odetchnąć. Zginam się w pół, siadam na ziemi. Cały pokój wraz ze mną płynie po jakiemś zielonem morzu, a w oczach kręcą się z niesłychaną szybkością koła ogniste.

Profesor podnosi mnie ze ziemi, łagodnie klepie po ramieniu i podaje szklankę z wodą:

— Niicz to, mon ami, niicz, niicz... O, widacz, że zupełnie zdrowi diafragma. Inni mój uczeni leży na podloga jak kadawer.

— Teraz otwórz trochi gęba. — Taak... Jeszcze trochi... O — o!... Ti cztery zęba precz! Precz, zupełnie precz! Język poderznąć! Podniebienie poderznąć. Mali język trochi — czyk!

Poczem nagłym ruchem pociągnął mnie za sobą ku pianinu.

— Teraz spróbujemi głos! Śpiewaj to: a a a a a a.

Śpiewam, ma się rozumieć: a a a, a a a.

— Nie tak, nie tak! Twoja głos śpiewa, jak byk. Kanta jeszcze jeden raz.

Przyznam się, że wcale nie gniewałem się na niego za to, iż mnie traktował „per ty“. Zawczasu bowiem słyszałem, że maestro wszystkim swoim ukochanym uczniom mówi: ty. A jeżeli mówi: pan — to daje do zrozumienia, że z głosu twego będą nici...

— Śpiewaj jeszcze raz.

Śpiewam.

— O, dyabolo! Ti nie jest ani pies, ani bies, ani voix! Trzymaj ton na diafragma. Śpiewaj tak, jakby ty brzucho boli!

Śpiewam.

— Nie tak! Nie tak! Posługacz daj jeden ręcznik.

Przychodzi posługacz. Jakieś wyschłe, nieogolone indywiduum przypominające stróża z muzeum anatomicznego; na twarzy jego maluje się posępność i rozpaczliwa stanowczość. Okręca naokoło mych biódr ręcznik a wtedy maestro bierze za jeden koniec ręcznika, posługacz za drugi i obaj opierając się nogami o moje biodra, każdy ciągnie do siebie.

— Śpiewaj! — krzyczy maestro. — Wyższy ton, niższy ton, niższy. Trzymaj diafragma.

Krew mi uderza do głowy. Czuję, że ponsowieję, potem staję się sinym; oczy mi wyłażą na zewnątrz, wreszcie poczynam się krztusić, jak topielec.

— O oo!... Wiedziałem, że ti tak będzie... Tenore di grazia. Teraz spróbujemy swobodni ton. Wisuń język!

Oczywiście ulegam mu. Profesor tym samym ręcznikiem okręca mocno język i wyciąga go na zewnątrz, aż do zetknięcia się z górnym guzikiem surduta.

— Śpiewaj: E e e e e e...

Śpiewam, kaszlę, krztuszę, dławię się, ale śpiewam, śpiewam.

— Teraz rozszerzymy nieco szczęki. Otwórz gębę...

Otwieram. Maestro chwyta ręką niby kleszczami, moją dolną szczękę i dalejże machać nią z góry na dół, jakby pompował wodę.

— Śpiewaj! Be, be, be, be, be.

Teraz każe mi uklęknąć na podłodze i odzywa się.

— Wypróbujemy oddech! Biedna nota. O, ta: fa! Bierz i trzymaj prosto, jak jeden lokomotywa: u u u..., u u u.

— U u u u...

A gdy to się udało, kładzie mi na piersi wielką książkę, na nią drugą, trzecią, czwartą, piątą, szóstą.

— Bierz: u u u...

— U u u u...

Poczem, czy dacie wiarę, na tę wielką kupę książek znosi kuferki, pudła, poduszki z otomany i nadomiar złego usadawia się na tem wszystkiem, sam w swej profesorskiej osobie.

— Nie mogę wytrzymać i proszę o litość.

Profesor, jak się zdaje, jest ze mnie zadowolony, ponieważ co chwila pociera radośnie ręce.

— Teraz ostatnia próba. Oto wiedeńska krzesła. Właź pod krzesła i siedź tam.

— Ależ panie profesorze! To niepodobne....

— Milcz! jeżeli ti będziesz mogla śpiewać, siedząc pod krzesełka, ti będziesz mogla śpiewać w każdej innej position.

Wiem, że niewielu mi uwierzy, ale klnę się na wszystkie bogi greckie i rzymskie, żem postanowił i zdołał wleść pod zwyczajne krzesło wiedeńskie i usiadłem tam, zwinąwszy się niemal w kłębek, a profesor siadł na krześle i ryknął:

— Śpiewaj!

— Ale co mam śpiewać, maestro?

— Co chcesz... Co tylko chcesz: aryę, duet, kwartet... śpiewaj dotąd, aż przestanę palić moja cigareta...

To mówiąc, zapala, moi państwo, olbrzymie cygaro austryackie, ja zaś zaczynam śpiewać, siedząc w takiej pozycyi, cały pierwszy akt z „Fausta“, epitalamę z „Nerona“ — prolog z „Pajaców“, kwartet z „Torreadora“, Gwiazdę wieczorną z „Tanhäusera“... ten wciąż pali... Wreszcie braknie mi głosu. Z gardła rozlega się syczenie, niby z syfonu wody selterskiej. A ten wciąż pali... Wtedy, zniecierpliwiony, odzywam się nieśmiało:

— Nie mogę, więcej, maestro.

Maestro wstaje, podnosi krzesełko i... daje mi takiego kopsa poniżej fraka, że lecę jak piłka po posadzce, dopóki nie uderzam głową o ścianę. Podnoszę się wreszcie na nogi i zdumiony bełkoczę jedno tylko słowo:

— Profesorze...

— Aha... profesorze! Dyabli was pobierz, kiedy profesorowi nie dajecie spokoju. Ja przecie jestem profesor nie waszego głupiego śpiewu, ale profesor gimnastiki, atlestiki, boksa, pływania i fechtowania. Moja tylko familia jest taka sama jak tego głupiego wasza profesora. To jest moje nieszczęście, prawdziwe nieszczęście! Przez ta głupia szarlatana, do mnie każda dzień od rana do wieczora przylażą różne glupie śpiewaki, jak ti, i ja postanowiła choć raz nauczyć taki idyota. Ti może mnie skarżyć do sądu, ti może ze mną pojedynkować na armaty, albo na francuska koksa, na palki, rapiri i dziudżitu. A teraz — precz za drzwi!

Cóż miałem robić?

Ruszyłem ramionami i wyszedłem.

Anna Eugenia Piechowska.

Do muzy.

Muzo! pieśń wielką co niebo wzruszy
Dobądź z łon naszych, z ducha czy krwi —
Niech ton jej glob ten w posadach ruszy
Gdzie pusta piosnka z cierpienia drwi!

Niech górne duchów naszych porywy
Mocarnem tchnieniem, młody dusz lot
Skierują, w kresy gdzie wiecznie żywy
Król-Duch u nowych Szczęść wita wrot!...

Jako z świątyni wzniosłego szczytu
Wielki, spiżowy ozwie się dzwon,
— Tak w niebosiężne strefy prabytu
Lutni niech naszych przyzywa ton!

Niech zbudzi sennych ducha nędzarzy,
Ożywi blady, mogilny cień; —
W łonach przygasłych ogień niech żarzy,
By z obsłon Jutra — świetlny wzszedł dzień...

Dalej i dalej! napinaj struny!
Chociażby pękła rozgrana pierś —
Wyżej a wyżej!... Nim wstąpim „w truny“
— Na Twojem skrzydle nam duchy wznieś!...

Od skrytości krok tylko jeden do fałszu, a fałsz leży tuż obok zdrady.

Wiktor Gomulicki.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 4-go września 1621 rozstrzygnięcie bitwy pod Chocimem. — 1818 car Aleksander gwałci konstytucyę w Kongresówce.

Dnia 5-go września 1725 ślub Maryi Leszczyńskiej z Ludwikiem XV. — 1772 traktaty trzech mocarstw co do rozbioru Polski. — 1831 sejm odrzuca wszelką ugodę z Mikołajem.

Dnia 6-go września 1580 zdobycie Wielkich Łuk. — 1794 Prusacy ustępują z pod Warszawy. — 1831 atak Moskwy do Warszawy. Śmierć Sowińskiego.

Dnia 7-go września 1422 bitwa pod Nieszawą z Krzyżakami. — 1621 utarczka pod Chocimem. — 1789 wyznaczenie deputacyi do utworzenia konstytucyi. — 1831 Krukowiecki poddaje Warszawę.

Dnia 8-go września 1514 pobicie Moskwy pod Kropiwną. — 1717 Matka Boska w Częstochowie Królową Polski koronowana. — 1831 Moskale wchodzą do Warszawy.

Dnia 9-go września 1688 pobicie Tatarów pod Podhajcami. — 1733 Stanisław Leszczyński przybywa do Warszawy.

Dnia 10-go września 1538 potwierdzenie przywilejów dla Prus. — 1573 Henryk Walezy zaprzysięga pacta conventa. — 1831 Rybicki ogłoszony naczelnym wodzem.

Humor i satyra.

One.

Gdy w kobiet wchodzisz krąg,
Nie pytaj się wyroczni,
Zważ tylko jedno tło
I na niem, synu, spocznij!
Nie badaj starych ksiąg,
Głębokich, czy też płytkich: —
Kobiety różne są,
Lecz nie masz tylko — brzydkich!

* * *

Świadectwo dla męża.

— Jakto, moja kochana, toś ty przyjechała do morskich kąpieli z mężem?

— Niestety lekarz zalecił mi zupełny spokój.

* * *

Wyrozumiała mama.

— Widzicie Jacentowa! jaki wasz chłopak gałgan, ukradł kilka marek; powinniście mu dobrze skórę wytrzepać.

— Sprałam szelmę! sprałam na kwaśne jabłko gałgana; bo już mniejsza, że ukradł, ale czemu taki dureń, że się dał złapać?

Nasze sługi.

— Słuchaj, Marysiu, my zawsze pijamy herbatę o ósmej z rana.

— Dobrze, proszę pani. Jeżeli mnie o tej godzinie nie będzie, to państwo będą łaskawi sami wypić nie czekając na mnie.

* * *

Zbytek surowości.

— Czemu to wykluczyliście Władka tak gwałtownie z klubu jaroszów?

— Zauważono go, jak przed wystawa rzeźnika się oblizywał.

* * *

W aptece.



Pomocnik oznajmia aptekarzowi, że w słoiku nie ma opium, więc recepty sporządzić nie może.

Aptekarz: — Daj pan zamiast opium aloesu. Jak chory ma wyzdrowieć, to mu aloes nie zaszkodzi, a jak ma umrzeć, to mu wszystko jedno co połknie przed śmiercią.

* * *

To co innego.

— Czy sądzisz, że Michałowi można zaufać?

— Czy można zaufać! Ależ ja bez wahania powierzyłbym mu swoje życie.

— No tak, ale coś wartościowego, naprzykład pieniądze?

* * *

Znawca.

— Jakże znajduje pan ten satrożytny obraz? mnie się bardzo podoba.

— A według mego zdania jest to bazgranina.

— Dla czego?

— Patrz pan, na kartce napisano: „Malarz nieznany.“

* * *

W szkole.

Nauczyciel: — Kto stworzył świat? (Uczeń w tej samej chwili rozlał atrament).

Nauczyciel woła: — Więc kto tym był?

Uczeń: — Ja, panie nauczycielu, ale już nigdy tego nie zrobię.

Dziedziczne.

— Janie, znów się strąbiłeś jak beła, czy nie możesz się od tego trąbienia odzwyczaić?

— Nie, proszę pana, to już dziedziczne.

— Więc i twój ojciec był pijakiem?

— Nie... ale był pocztylionem!

* * *

Przekonany.

Do apteki na odludnej ulicy dzwoni gwałtownie o godzinie 2-giej w nocy żyd.

Aptekarz zrywa się z najlepszego snu, zarzuca na siebie okrycie i otwiera drzwi.

— Panie aptekarz, panie aptekarz, daj mi pan jak najprędzej za 10 fenygów proszek musujący, moja żona dostała gwałtownej czkawki.

— Zjadłeś wasan sto tysięcy lichów z budzeniem mnie o tak późnej godzinie dla takiej bagateli. Przecież na czkawkę najlepsza czysta woda.

— Taak, — nie wiedziałem, — w takim razie przepraszam bardzo, nie fatyguj się pan przygotowywaniem proszku, czystą wodę mam u siebie w domu.

* *

Skuteczne wody.

— Pan dziś opuszcza nasze kąpiele, — odzywa się dyrektor zakładu zdrojowego, do wybierającego się do domu gościa. — Jakże się łaskawy pan czuje?

— Dziękuję bardzo, niczego mi zgoła nie brakuje. Kiedym tu przyjechał, miałem ból głowy i mam go teraz, reumatyzm — i ten mi pozostał, cierpienie wątroby — i tego się nie pozbyłem. Cudowne doprawdy wasze wody, niczego nikomu z jego chorób nie brakuje, skoro je opuszcza.

* * *

U dentysty technika.

— Proszę pana — pyta prowincyonalnego dentysty, kobieta wiejska, — ile kosztuje wyrwanie jednego zęba?

— Mareczkę, ale wyrwanie sześciu naraz moja kobieto, kosztować was będzie o połowę taniej.

* * *

Na wycieczce.

Kelner do zbyt kiepsko płacącego gościa: — To już jest piąta butelka wina...

Gość z uniesieniem: — A czy pan myśli, że my po czwartej butelce zaraz szóstą zamówimy...

* * *

Nauczka.

Do jednego z balwierzy wchodzi młodzik i siada na krześle.

— Czy mam pana umyć? — zapytuje balwierz.

— Nie, ogolić, proszę pana — rumieniąc się, odpowiedział młodzieniec.

* * *

Nasze dzieci.

— Bój się Boga, Stasiu, 12 lat jeszcze nie masz, a już papierosy palisz! Cóż to będzie, gdy będziesz starszy?

— Będę palił cygara.

* * *

Chwilowa nieobecność.

Elegancko ubrany młody człowiek każe się zawieźć przed więzienie.

Doróżkarz: — Może wielmożny pan każe mi zaczekać na siebie?

Młody człowiek: — A owszem, jeżeli pan ma tyle wolnego czasu.

Doróżkarz: — A czy pan długo zabawi?

Młody człowiek: — E nie, tylko tydzień.

* * *

W Poznaniu

wieśniaka zaprowadzono do ogrodu zoologicznego. Stanąwszy nad stawem z łabędziami, zaczął oczy ocierać.

— Czego płaczesz, Walek?

— Te duże ptaki przypomniały mi moje gęsi, które lis podusił.

* * *

Na prowincyi.

A więc, panowie, wybierzmy na naczelnika straży ogniowej naszego kochanego aptekarza.

— Protestuję!

— A to czemu?

— Bo jak zacznie odmierzać nam wodę do sikawek po aptekarsku, to całe miasto z dymem pójdzie.

* * *

NASZ KĄCIK.

W dzień narodzenia Matki Bożej.
(8-go września.)

Przed Twe ołtarze niosąc kwiatów zwoje
Idziem dziś uczcić narodzenie Twoje
O, Przenajświętsza Panienko!
Ty świecisz wzorem najczyściejszej cnoty,
A więc ku Tobie wznosim wzrok tęsknoty:
Błogosław nam dziś Twą ręką!
Niech w sercach polskiej, wiernej Twojej młodzi
Umiłowanie cnót Twoich się zrodzi
O, Przenajświętsza Panienko!
Ty Swym przykładem uczysz od stuleci,
Że dla rodziców powinny być dzieci
Błogosławieństwem — nie męką.
Więc za Twym śladem, o Ty święty wzorze,
Każde z nas pragnie żyć w ducha pokorze
O Przenajświętsza Panienko!
Kochać rodziców, posłusznie i cicho,
Żyć i pracować — i nie grzesząc pychą,
Uwielbiać Ciebie piosenką!
Dziś, w narodzenia Twego dzionek święty,
Pieśń brzmi serdeczniej i z piersi przejętej
O, Przenajświętsza Panienko,
Płynie głos prośby serdecznej i tkliwej:
Nas i rodziców i chatki i niwy,
Błogosław Matko Twą ręką!

Sandomierz.
(Ciąg dalszy).

Raz, w czasie napadu Tatarów. lud tłumnie garnął się do zamku, by tam się schronić przed wrogiem. Niestety, most przed wrotami nie był dość szeroki, a ludzie cisnąc się i dusząc spadali jak snopy w głęboki parów otaczający zamek dokoła. — Ocalałą gromadę ludzi z dowódcą Piotrem Krempą i duchownymi, Tatarzy podstępem podeszli i nie oszczędzając nawet dzieci, strasznie wszystkich wymordowali.

Gdy w roku 1288 Tatarzy znów do Sandomierza wpadli, znalazła się dzielna dziewczyna, Halina, córka Piotra Krempy, która mszcząc się za straszną śmierć ojca, wrogów w zasadzkę wprowadziła.

Otóż, stanąwszy przed chanem tatarskim rzekła: „Miasta teraz nie zdobędziesz, jest ono dobrze zabezpieczone, ale ja znam wejście podziemne, chcesz, to was niem przeprowadzę, a potem odpowiedniego zażądam wynagrodzenia.“ — Z niedowierzaniem chan spojrzał na Halinę, lecz ona powiada: „Ja sama pójdę naprzód, jeślibym skłamała zabić mnie możesz.“

Wtedy chan uwierzył, dał rozkaz i zwolna tłum ogromny idąc śladem Haliny, zaczął napełniać ciemne czeluście podziemia.

Wtem zawczasu przez Halinę powiadomieni o tem Sandomierzanie, znienacka skoczywszy, wejście do lochu zamknęli. — Powstał wśród Tatarów krzyk straszny i popłoch, a Halina zawołała pierś nadstawiając: „Zabijaj chanie! Ja zginę, ale współbracia moi ocaleni, pomszczona śmierć ojca i wy na męki powolnego konania skazani!“

Dawniej, w owem pamiętnem miejscu wznosiła się góra, pod nią było ukryte wejście do podziemi. Z czasem część góry się zawaliła, odsłaniając podziemie, a dróżka zmieniła kierunek i tworzy głęboki wąwóz, nazwany „Piszczele,“ bo do dziś dnia znajdują ludzie kości, poległych tam wówczas Tatarów. — Na przeciwnem wzgórzu wznosi się świątynia św. Jakóba. Kościół ten to zabytek bardzo, bardzo stary i piękny, był już w ruinach, teraz go odnawiają droga dobroczynnych składek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

P. W.

Szarada.

Kiedy pierwsze — drugie, przystrojone w kwiecie,
To miesiąc wakacyj, więc cieszysz się, dziecię,
Lecz, gdy drugie — pierwsze. naprzykrzy się słonko
I chętnie się chowasz po za drzew obsłonką.

Rozwiązanie szarady z „Naszego kącika“, zamieszczonej w nr. 34-ym:

Porzeczka“.

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. Jan Wachowski z Niechanowa, Stefan Janowski z Rodelshöfen pod Brunsbergiem w Prusach Wschodnich, Jadwiga i Albina Badura z Rożdzienia na Górnym Śląsku.

Dobre rady:

Gdy dziecię widzisz zmarszczoną twarz,
Lub kiedy ujrzysz zsiwiałą skroń,
Całym szacunkiem tych ludzi darz,
I ze czcią główkę przed nimi skłoń!
Bo takie ślady zostawia czas,
Który i ciebie pozbawi kras.

— — — — — — — —

Siedź prosto, patrz śmiało
I hartuj twe ciało!

Paula Wężyk.

Żadne kusy nie pomogą,
Kto wędruje niecnot drogą.

Z „Facecyj polskich“ z r. 1624.

* * *

Niewinność to najdroższa dusz czystych ozdoba,
Niewinność się i ludziom i Bogu podoba.

LOGOGRYF.

Ułożył p. Antoni K. na obczyźnie.

○ + ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ ○ + ○ ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ + ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ ○ + ○ ○ ○

Zastąpić kółka i krzyżyki literami tak, żeby krzyżyki czytane z góry na dół utworzyły nazwisko męża wsławionego w czasach wojen szwedzkich

Znaczenie wyrazów.

1. Rzeka w Rosyi. 2 Starożytne miasto. 3. Inaczej bakterye. 4 Dawne narzędzie rolnicze. 5. Roślina. 6. Dziejopis rzymski. 7. Dopływ Renu. 8. Wybrzeże zatoki Genueńskiej.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 8-go września włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dobre i dokładne rozwiązanie powyższego logogryfu.

Rozwiązanie logogryfu zamieszczonego w numerze 34-ym:

Iwa
Pan
Wilno
Kreda
Era
Łyk
Ban
Spencer
Szałwia
Załuski
Żółkiew
Rapacki
Glasgów
Galicya
Pieśniarz
Krzysztof
Józef kremer
Krzemieniec

Waleryan Łukasiński.

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 25-go z. m. i otrzymały nagrodę następujące osoby: pp. Halszka z Wrześni, Jan Wachowski z Niechanowa i Berta Badura z Rożdzienia na Górnym Śląsku.

D. Živković.

Dzielna dziewczyna.

Tłom. ze serbskiego ***

Spotkałem ją na ulicy Pszczelnej przed domem Binlicza... deszcz lał strumieniami; jesień miała się ku schyłkowi, zaczynało marznąć.

— Na Boga, co tu robisz w tym mrozie na ulicy?! Idź do domu.

— Łatwo to powiedzieć, — odpowiedziała nieśmiało,— ale jak się domu niema!

— Więc tu w mieście domu niemasz?

— Nie. Rodzice umarli, bieda wypędziła mnie z Wysokiej dotąd; szukam cały dzień służby, dotychczas nadaremno — nie mogę znaleść.

— To źle. Nie możesz przecież do rana na ulicy pozostać?!

— Jak Bóg zechce! — przy tych słowach zauważyłem w oku jej błyszczącą łzę, zwolna spadającą po twarzy.

Żal mi było tej dziewczyny.

— Chodź ze mną! Mam dla ciebie ciepły pokój.

Nigdy nie zapomnę jej wzroku, którym mnie wówczas obrzuciła. Czytałem wyraźnie jak w otwartej książce pytanie:

— Czy mam ci ufać?

— Mam matkę — do niej chcę cię zaprowadzić! — uspokoiłem ją.

Poszła ze mną... w pokoju matka zapytała się:

— Kto to jest?

— Sierota, matko. Niema gdzie spać, jest z Wysokiej. U nas niech przenocuje.

Matka zmierzyła ją wzrokiem od głowy do stóp.

— Dobrze, usiądź! — wyjęła z śpiżarni miseczkę mięsa z ryżem i postawiła obcej do jedzenia.

Po kolacyi mało rozmawialiśmy.

Przypominam sobie tylko, że wspomniała jak jej na imię — Ada — niezwyczajne imię!

Udałem się na spoczynek, lecz długo nie mogłem zasnąć. Na drugi dzień była właśnie niedziela — wstałem bardzo rychło. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zauważyłem, że pokój mieszkalny uprzątnięty. Wchodzę do sypialni matki: i tam wszystko w największym porządku. Matka moja spojrzała na mnie zadowolona, uśmiechnięta:

— Pilna dziewczyna! — zawołała. — Wcale jej nie rozkazałam, ani nie prosiłam, ona sama wszystko zrobiła, a tak ostrożnie, że mnie nawet nie przebudziła. Dopiero gdy się przebudziłam przyszła się zapytać gdzie i czem ma napaść ptactwo.

Spojrzałem na matkę pytająco:

— Poszła po wodę. Nie chciała za darmo kolacyi i noclegu.

Ada weszła do pokoju z zaróżowionemi policzkami.

— Dziękuję wam! — rzekła skubiąc palcami sznurówkę.

— Teraz pójdę sobie służby szukać.

Moja matka zaambarasowała się.

— Dziś jest święto, — wtrąciłem.

— Byłoby grzechem, gdybyśmy ci dziś pozwolili odejść. Zostań jeszcze!... Zauważyłem, że się nie spieszyła.

Oblicze matki wypogodziło się.

— Tak, tak, zostań! Jeżeli już koniecznie musisz, idź jutro!

— Jak się wam podoba.

Ada wyszła do kuchni, ja poszedłem do kawiarni. Przy obiedzie skarżyła się matka na ból głowy... pod wieczór się pogorszyło, tak, że na drugi dzień rano posłałem po doktora.

— Ada co za nieszczęście! Zostań na Boga aż moja matka wyzdrowieje.

Została.

Pielęgnowała matkę z największą troskliwością. Przypuszczam nawet, że gdyby nie ona, matka nie byłaby się więcej podniosła. Dwa dni po wyzdrowieniu odezwała się do Ady:

— Ada, moje dziecko, nie opuszczaj nas. Wyzdrowiałam wprawdzie, ale mi za ciężko samej pracować. Zostań u nas, wynagrodzę cię należycie.

Została.

— Nie jesteś przeciwny temu, mój synu?

— Twoje postanowienie, matko, było mi zawsze rozkazem, — odrzekłem.

* * *

Mój sąsiad miał parobka Jana. Zauważyłem, że trzy wieczory już ze sobą przed drzwiami rozmawiali, a ponieważ nie lubię, jak służba rozmawia, zawołałem Adę.

— Powiedz mi, co ten Jan co wieczór od ciebie chce?

— Co chce? Czemu ja nie mam z nim rozmawiać? — odpowiedziała rubasznie.

— No, no, ja pytam się tak tylko.

— Więc wam powiem. Kocha mnie, chce się zemną ożenić.

Mówiąc to, spuściła powieki.

— A ty? — zapytałem się z nieprzyjemnem uczuciem.

— O, jak wy na mnie patrzycie! — wtrąciła bojaźliwie.

— Więc ty go kochasz? — zapytałem drżącym głosem, — zimno mi się zrobiło.

— Nie mam mu nic do zarzucenia, rodzice jego poważani ludzie.

— To się żeń z nim! — odpowiedziałem z ściśniętem gardłem.

— Nie chcę!

— Nie chcesz, czemu?

— Nie kocham go!

— Więc czemu z nim rozmawiasz?

— A z kim ja mam rozmawiać?

— Masz racyę! — odpowiedziałem w zamyśleniu.

— Zresztą wiesz co? zaprowadzę cię do mojej krewnej Jelki, z nią możesz się narozmawiać!

— Jestem tylko służącą! — mówiła zasmucona.

— Nie szkodzi! Jelka nie jest dumna!

Zaprowadziłem ją do Jelki. Siedziała zmartwiona nad haftem, narzekając, że nie umie tak pięknie wyhaftować liści na sznurówce jak Miczy Andzia.

— Daj mi, — wtrąciła Ada i wzięła haft do rąk. Na drugi dzień po robocie siedziała znów przy hafcie. Jelka przyszła co dzień przyglądać się robocie. Po tygodniu miała Jelka piękniejsze liście na sznurówce niż Andzia. A gdy jej Ada uszyła jeszcze wstawkę, były już najlepszemi przyjaciółkami.

Pół roku jest już Ada w naszym domu!

Pewnego poranku — wieczór poprzednio spędziłem do północy w gronie przyjaciół, przebudziłem się i z przerażeniem zauważyłem, że słońce już do mojego pokoju świeci.

— O! już 8 godzina! — zawołałem, wyskoczyłem z łóżka, ubrałem się szybko, zbiegłem na dół na śniadanie, ażeby się zaraz udać do pracy.

Wszedłszy do pokoju, oniemiałem, widząc matkę zajętą uprzątaniem.

— Nie chciałam cię budzić — odrzekła na moje pytanie — przyszedłeś wczoraj tak późno. Nasz ptaszek uciekł!

— Jakto?

— Przypuszczałam, że poszła jak zwykle po wodę, czekałam jednak napróżno; w podwórzu jej również nigdzie nie było i dotychczas niema.

Wiedziałem o kim mowa.

— Rano jeszcze ją widziałaś? — zapytałem się głosem zdławionym.

— Nie! Wczoraj udałyśmy się wcześnie na spoczynek. Jak przez sen przypominam sobie, że słyszałam w nocy Adę szlochającą. Chciałam ją zapytać o powód, zaniechałam jednak, bo wkrótce ucichła. Zresztą narzekała wczoraj wieczorem na ból głowy i nie jadła wieczerzy.

Stałem jak skamieniały.

— Biada mi jeżeli ją jakie nieszczęście spotkało! Nie jestem zdolna do żadnej roboty, — biadała moja matka, — co ja stara bez niej pocznę?

Słowa matczyne przywróciły mi przytomność. Zostawiłem kawę nietkniętą i uciekłem z domu.

Pytałem się sąsiadów, znajomych, czy Ady nie widzieli. Jeden odpowiedział „nie“, drugi ironicznie „śledzą ją twoje oczy, moje napewno nie! Mało mnie obchodzi!“

Podobne odpowiedzi z początku mnie ambarasowały, lecz nie było chwili czasu do stracenia. Pytałem więc dalej:

— Żaden człowiek nie wiedział o niej zgoła nic.

— Może poszła w inną służbę! — pomyślałem.

— Ale nie! dlaczego by się z tem kryła! Nikt by jej nie był mógł przemocą zatrzymywać. Czyśmy jej jaką krzywdę zrobili? Może być? Rozmawiałem zawsze z nią tonem szorstkim, rozkazującym nigdy nie, jak z równym sobie. Byłem powinien uwzględnić, że jest dziewczyną, — pomimo, że u mnie służyła!... Kto wie, czy nie poszła za tym chłystkiem Janem... ale nie, to niemożliwe: on taki brzydki, — ona piękna!... Dziwne! że mi dopiero teraz podpada, że Ada piękna! Może przedtem nie zauważyłem, mając ją ciągle przed oczyma?

— Hola! Z drogi! — krzyknął na mnie jeździec, przytrzymując z trudnością konie, ażeby je powstrzymać. Zamyślony o mało byłbym przejechany.

— Czego szukasz nosem po ziemi, zamiast prosto przed siebie patrzeć! — krzyczał tamten.

— Wybacz! — odpowiedziałem krótko.

Minąłem go. Nagle błysnęła mi myśl.

— Stój! — krzyknąłem. — Masz na piwo!

Podałem mu guldena, zatrzymał konie, wziął monetę.

— Powiedz mi, proszę cię, nie spotkałeś po drodze jakiej młodej dziewczyny?

— Spotkałem kilka!

— Za Sarajewem?

— Tak!... — tak, poczekaj... — podpadła mi jedna, wysoka, czarnooka w jedwabnej czerwonej sznurówce, idąca ku Wysokiej.

— Masz jeszcze guldena! — krzyknąłem radośnie i przyspieszyłem kroku.

Nie wiem jak długo szedłem, kogo spotkałem, wiem tylko, że niedaleko Wysokiej ujrzałem czerwoną sznurówkę i co sił jak tylko mogłem najgłośniej, zawołałem:

— Ada!

Obejrzała się. Poznawszy mnie, zaczęła uciekać. Ja za nią. Wkrótce, wyczerpana z sił, byłaby upadła, gdy ja właśnie nadbiegłem i chwyciłem ją w ramiona.

— Jesteś doprawdy szaloną — szemrałem. — Kto cię zmusił, żebyś uciekła?

— Czy was to co obchodzi? — wyszeptała z wysiłkiem.

— Mnie? tak wiesz, mnie... nie mnie! Matka moja, tak moja matka była w rozpaczy, czy cię jakie nieszczęście nie spotkało. Posłała mnie za tobą.

— W innym razie byś za mną nie biegł? — zapytała, patrząc na mnie.

— Tak, — dodała — byłam tylko waszą sługą.

— Kiedy już koniecznie chcesz wiedzieć: ...tak, szukałem cię! Szukałem cię, bo jestem twoim panem, odpowiedzialnym za ciebie! — czułem, że mi krew do głowy uderzyła.

— I co więcej?

— Czego jeszcze chciałem... ja... ja... chcesz mnie wypytać jak nauczyciel ucznia, właściwie ja powinienem pytać ciebie, z jakiego powodu opuściłaś nas tak nagle? — odetchnąłem swobodniej.

— Tego nie powiem...

— Czemu?

— Wstydzę się.

— Co? Czy co takiego strasznego? W takim razie musisz koniecznie powiedzieć. Sześć miesięcy byłaś u mnie w służbie, nie zauważyłem nic przykrego — przeciwnie — nie byłaś mi obcą — tak się do ciebie przyzwyczaiłem. Przykro byłoby mi, gdybym ci miał mimo woli jaką przykrość wyrządzić.

— Nic mi nie zrobiłeś.

— Bogu chwała... kamień spadł mi z serca. — Czy by cię moja matka obraziła... zaprzeczasz. I cóżby to mogło być?... myślę i myślę... łamię głowę... nie wiem co. Musi być coś ważnego, boś się cała zarumieniła. Proszę cię, nie męcz mnie, mów!

— Nie pytaj! Odejść muszę, Sarajewo mnie już nigdy nie zobaczy... chciała odejść.

— Stój! — krzyknąłem. — Albo mi w tej chwili powiesz, albo cię przemocą zabieram do Serajewa.

— Nie dręcz mnie, mój panie. Powiedziałabym wam, ale nie śmiem wam patrzeć w oczy... albo: już! już mam!... zwróćcie się twarzą do miasta... a wówczas wam wszystko powiem!... Zastósowałem się do jej życzenia.

— Wczoraj wieczorem... — proszę ani słówka panie, dopóki nie powiem wszystkiego! A więc wczoraj wieczorem po zachodzie słońca spotkał mnie znowu Jan przed domem i wszczął rozmowę: „mnie się zdaje, rzekł, żeś się zmieniła dziewczyno!“ Ażeby go się pozbyć odpowiedziałam szybko: „a choćby?“ On jednak mówił dalej: „masz piękniejsze stroje!“

— Zarobiłam na nie, pracą moich rąk własnych.

— Twoich rąk? W mieście mówią inaczej-

— Co mnie obchodzą ludzkie, plotki i ty! — i odwróciłam się. On nie dał zbić się z toru: „ludzie mówią, że ci to pan daje...

— A choćby?

— Wiadomo, za co się pięknym dziewczętom kosztowne podarki daje, — rzekł niedbale, złośliwie...

— A za co? — zapytałam go się, chociaż wiedziałam, że suknie moje nie są podarkami, tylko pracą moją i oszczędnością. Wszakże uśmiech jego złośliwy zmartwił mnie i przestraszył.

— Jak to sobie wytłomaczyć?

— Czekaj... Twój pan jest młody, piękny, nie żonaty; ty natomiast piękną dziewczyną; matka jego stara, udaje się rychło na spoczynek... zostajecie sami... I czemu nie? Jesteście młodzi, życie krótkie, czemu go nie wykorzystać?

— Zrozumiałam go... z powodu tego uciekłam... matkę waszą okłamałam, że jestem cierpiącą, udałam się wcześnie na spoczynek. Twarz schowałam w poduszki, żeby mnie wasza matka nie słyszała płaczącej... Mój Boże! mój Boże! czemu ja nie mam na świecie nikogo; muszę pozwolić na to, że mnie oczerniają, bo jestem sierotą! Czemu ludzie o biednych tak źle myślą?! Zauważyliście jak wykształcone, dystyngowane panny flirtują na ulicy z oficerami, rodzice ich się wstydzić powinni, z niemi na ulicy pokazać się, a jednak nikt się nie odważy za niemi wołać, że postępują niehonorowo. Czy to sprawiedliwie!...

Nie mogłam się zdecydować, co począć; w końcu postanowiłam potajemnie was opuścić, nie wiedziałam bowiem jak się uniewinnić, opuszczając was dobrowolnie... Teraz wiecie, dlaczego was potajemnie opuściłam.

— Dobrze! dobrze! lecz to nie ostateczny powód, — wtrąciłem, odwracając się.

— Nie ostateczny?! — spojrzała wystraszona.

— Nie, powiedziałem! boisz się, żebym cię nie odgadł. Poznałem cię. Jesteś mędrsza od innych. Opowiedz to innemu, nie mnie — po za tem jest coś innego. Mów zatem!

— Bóg z tobą! Co by innego mogło być?-

— Nie pytałbym się, gdybym wiedział? Zresztą dosyć tej komedyi: powiedz wszystko, albo cię zabieram z powrotem do miasta... Zresztą nie zmuszam cię, jeżeli jest niemożliwem do powiedzenia. Plotka Jana jest złośliwym wymysłem, bez znaczenia, za dobrze mnie w mieście znają.

— Nic więcej nie powiem! — krzyknęła stanowczo.

— Powiedz!

— Nie wiem! — zarumieniła się ponownie. — Nie mogę, nie mogę powiedzieć. Sarajewo mnie nie zobaczy więcej!

— Czy tak? Nie jest ci żal mojej matki, która już nie może pracować?

— Weźcie inną sługę!

— Matka się do ciebie przyzwyczaiła, inna jej tak nie dogodzi... zresztą muszę ci się przyznać, że gotujesz najlepszą kawę — trudno bym się do innej przyzwyczaił. Uprzątasz tak miło, — nie dosyć jasno mówię!?

— Mówcie, to dopiero początek, pragnę słyszeć więcej.

— Masz racyę — dobrze, powiem wszystko!

— Nie odgadłaś, czemu cię po chorobie matki nadal w domu zatrzymałem? Przypominasz sobie, jak mi niemiło było, gdyś z Janem rozmawiała? Nie domyślasz się, dlaczego cię zaprowadziłem do Jelki? Stroiłem jak siostrę? Tego jeszcze nie wiesz, że dziś rano szalałem z rozpaczy, dowiedziawszy się, żeś nas opuściła.

— Nie wiesz tego, że — cię kocham!... — otóż słowo, na które czekałaś.

— Wiedziałam! — odpowiedziała zarumieniona wzruszywszy prześliczną główką.

— Co?! Wiedziałaś? — zawołałem zdziwiony. Mnie się zdaje, że ja do ostatniej chwili sam nie wiedziałem.

— Powiedziałeś przed chwilą, że nie należę do głupich dziewcząt, powiedziało mi to moje serce — bo serca nie kłamią nigdy — on kocha mnie! —Żyłam w nadziei, że mi każdej chwili to wielkie, miłe słowo powiesz, nie mogąc się wcale doczekać — uciekłam: bo i ja kocham ciebie, a czekanie było mi za długie. Jan przyszedł mi wczoraj właśnie w porę: jego słowa mnie zabolały i ostatecznie postanowiłam raz skończyć. Nie jest w zwyczaju, ażeby dziewczyna oświadczała się mężczyźnie, dlatego zmusiłam cię ostatecznie do wypowiedzenia pierwszego słowa. Wiedziałam, że mnie będziesz szukał... tego tylko nie wiedziałam, że tak późno do domu wrócisz... nie byłabym się bowiem tak spieszyła... zresztą jeszcze teraz, mnie tak wymęczyłeś, aż nareszcie zdołałam z ciebie to jedno słówko „kocham cię!“ wydobyć.

Ostatecznie, moja Ado, powiedz mi jeszcze, z której książki nauczyłaś się tego wszystkiego?

Dziewczyna wskazała ręką na czoło, potem na serce.

— Jesteś dzielną dziewczyną, Ado! — rzekłem zdziwiony przyciskając ją do serca. Szliśmy ręka w rękę przez całe miasto, do domu, ludzie obracali się za nami.

Matka spojrzała na nas zdziwiona — zbliżyłem się do niej i rzekłem uroczyście: „matko pobłogosław nas!“ — wypogodziła się jej twarz, lecz równocześnie łzy zabłysły w jej oczach a ręce spoczęły na naszych głowach.

I.

Są dwa działy natur ludzkich: chodzący i skrzydlaty. Człowieka, umiejącego tylko chodzić, trzeba ciągle patrącać skrzydłem, aby nie zaczął pełzać, że zaś to patrącanie gniewa i niecierpliwi, więc człowiek-ptak, ze sporą ilością ran od postrzałów zazwyczaj świat ten opuszcza. Lecz, gdy go już opuści, zaczyna się na świecie wspominanie: jaki to był silny, szerokoskrzydły ptak! Jak ładnie wzbijał się w górę! Jak podniebieskie szlaki znaczyły jego skrzydła! I niejeden z tych, którzy tylko chodzić umieją, ścigając wzrokiem w górze szlak opustoszały, ani spostrzeże, jak mu u ramion własnych skrzydła wyrastają.

I w tem tkwi ta przyczyna bytu na ziemi — człowieka-ptaka.

II.

Bywają ludzie tak weseli i wesołości tylko pragnący, że wszelki smutek, który zjawi się w ich pobliżu, wydzielić usiłują z życia, jak kroplę trucizny z napoju. Dość jest ukazać im twarz smutną, aby utracić miejsce w ich sercu, albo wskazać na rzecz smutną, aby się obecności ich pozbawić.

I dziwnem jest to, że ci najweselsi w świecie ludzie, świat zaprawiają największą dozą smutku.

III.

Nad niedolą narodu płakać i o niej śpiewać — nie dosyć! Trzeba jeszcze do niego wielkim głosem wołać, aby stawał się lepszym, lepszym, lepszym, niżeli był i jest. Bo gwiazdę swych przeznaczeń on w piersi własnej nosi, bo przez siłę brutalną udręczanym być może, lecz śmierci mu zadać nie zdoła nikt — prócz niego samego.

Na Prokrustowem łożu rozciągnęły nas wrogów ramiona, lecz do mogiły włożyć nas mogą ręce tylko własne, jeżeli opadną leniwie lub o życie walczyć będą orężem, z „kuźni czarta“ branym.

Eliza Orzeszkowa.

CZARNA PERŁA.

6) *Powieść na tle wschodniem.*

(Ciąg dalszy).

— Nazela uczuła instynktowo, że ma do czynienia z rozkochaną istotą, niejakie uczucie współudziału owładnęło jej sercem, i obracając się do otaczających ją osób, skinęła ręką, aby się wszyscy oddalili.

Gdy pozostały same, rzekła łagodnie do córki odźwiernego:

— Kto jesteś, moje dziecię i po co tu przybyłaś?

Tamara ukryła twarz w dłoniach.

— Zaufaj mi, — mówiła przyjaźnie żona Defterdara, biorąc za rękę płaczącą dziewczynę.

— Nie dotykaj mnie straszliwa kobieto! — krzyknęła cofając się Tamara, jakby przed jadowitą gadziną. — Twoje ręce są krwią zbryzgane.

— Czyś ty szalona! — zawołała Nazela.

Córka Abu Nura zaśmiała się ochrypło.

— Czy ty nie jesteś Nazelą, narzeczoną tygrysa, której pocałunki śmierć zadają? — rzekła.

— Brednie! — zawołała z rozpaczą Tamara. — Cóż zrobiłaś z młodym hekimem, którego twoi niewolnicy schwycili wśród nocy, powiedz straszliwa! O ja wiem, tyś go zamordować kazała!

— Dosyć! dosyć! zawołała Nazela przyciskając ręce do serca, — teraz dopiero rozumiem wszystko. Ty kochasz tego Giaura.

— Czy ja go kocham! — jęknęła Tamara.

— I on kocha ciebie? — zapytała ponuro księżna.

Córka Abu-Nura spuściła smutnie oczy i rzekła z płaczem:

— On mnie wcale niezna.

W oczach narzeczonej tygrysa zabłysnął jakby promyk zadowolenia.

— Biedne dziecię, — mówiła łagodnie. — Chciałaś mnie zamordować wskutek nieszczęsnej pomyłki... Nazela opłakuje tak samo jak i ty hekima, który był jedyną jej w życiu miłością. Chodź tu, moje dziecię, płaczmy wspólnie nad tym nieszczęśliwym, dla którego lepiej byłoby, gdyby umarł.

— Więc on żyje! — krzyknęła Tamara, przejęta szaloną radością. — O powiedz, powiedz! gdzie on się znajduje?

Nazela westchnęła; nie miała odwagi powiedzieć wszystkiego biednej dziewczynie.

— On żyje, ale gdzie, jest to tajemnicą Defterdara mego męża, bo ten straszliwy człowiek skazał go przez zemstę na wieczne więzienie, — rzekła tylko.

Długo pozostały razem obiedwie kobiety w poufnej, przyjacielskiej rozmowie. Córka potężnego baszy objęła ramieniem dziecię biednego odźwiernego; wspólna boleść zatarła tu różnicę i obiedwie zdawały się zajęte zgodnie, jednym przedmiotem miłości.

* * *

Kapitan Brea od owej nocy u Abu-Gait'a był nieobecny w Kairze. Wysłano go z oddziałem wojska do Khartum, nowo założonej stolicy, niedawno zawojowanego Sennaru, z transportem towarów od baszy.

Wiadomość o nagłem zniknięciu doktora Monferanda doszła go dopiero za powrotem z tej wycieczki. Gontran przejęty był niezmierną boleścią i poprzysiągł odszukać śladów przyjaciela, lub go pomścić straszliwie.

Wtem pewnego dnia wróciwszy z ćwiczeń wojskowych zastał w swym pokoju na stole kartkę, na której było napisane:

„Czy kapitan Brea zapomniał zupełnie o swym zakładzie u Abu Gaita? Jutro jest ostatni termin, a więc dzisiajsza noc rozstrzyga wygraną. Lub czy odważny kapitan stracił ochotę udania się do jaskini tygrysiej, odtąd gdy doktór Monferand padł ofiarą tego pięknego krwiożerczego zwierza, jak o tem mówią powszechnie?

Tarabelli.“

— Byłoby to więcej, niż tchórzostwem, odstąpić właśnie teraz od zakładu, — mruknął kapitan po przeczytaniu tego listu, — byłoby to podłością, bo moim obowiązkiem jest pomścić przyjaciela!

Dzień przedtem siedziała Nazela w swoim buduarze, oczekując kogoś. Nagle drzwi się otwarły i ukazała się Hana z tryumfującym uśmiechem na grubych ustach.

— Czy znalazłaś ślad jego, — zawołała z niezmiernem zaciekawieniem Nazela na wchodzącą.

— Mam, — odpowiedziała Nubijka. — Hekim jest w Moristanie, Mahbub go widział.

— W Moristanie? — powtórzyła Nazela zdziwiona.

— Jest trzymany w więzieniu na wyraźny rozkaz Defterdara, Mahbub wybadał dozorcę. Ale jest dziś więcej jeszcze nowin, kochana pani!

Nazela spojrzała pytająco na swą starą powiernicę i mamkę.

— Nowiny miłe i słodkie jak napój z świeżego miodu, — zaśmiała się stara..

— Powiadajże! — zawołała niecierpliwie księżna.

Wszystko po kolei, — zaczęła stara. — Najpierw nowina, że Defterdar od niejakiego czasu ma częste schadzki z kobietą, którą nazywają „czarownicą z Damankuru.“ Te tajemne schadzki mają się odbywać w starym pałacu Szakin-Bey'a nad jeziorem słoniów, i dziwne się tam dziać mają rzeczy. Ta kobieta posiada nieograniczoną władzę nad duchami, przywołuje umarłych i zmusza ich do rozmowy. Ta czarownica nabrała już wielkiego rozgłosu, a Mohamed-Bey używa jej do utworzenia sobie silnego stronnictwa.

— Czy nie możnaby schwycić tej kobiety? — zapytała Nazela po chwili namysłu.

Stara zaśmiała się przebiegle.

— Może być, rzekła. — Lecz słuchaj pani, — i stłumionym głosem dodała: — Defterdar wchodzi w układy z Turkami.

— Hano! — zawołała Nazela z dziką radością.—Czy

— Więc precz z tą maską! — krzyknęła nieznajoma, zrzucając maskę i welon. Był to Gontran-Bre'a.

— Jesteś pan szalenie śmiały! na Allacha! — zawołała Nazela.

— Poszukałem tygrysicy w jej jaskini, — rzekł kapitan zimno.

— A gdyby jej łapa twojemu życiu groziła? — zapytała surowo małżonka Mohamed-Beya.

— Cóżby to szkodziło? — zaśmiał się gorżko młody człowiek, — jedna ofiara mniej lub więcej, wczoraj doktór Monferand, dziś kapitan Brea, a jutro znów kto inny... tajemna igraszka, która się w nurtach Nilu dokonywa, jak mówią.

— Ciągle te same szalone przesądy! — zawołała niecierpliwie księżna.

— Przesądy! — powtórzył Gontran, — dawniej sądziłem także, że to przesadą, ale nie dziś. Cóż się stało z doktorem Monferandem? — zapytał nagle Gontran, groźną przybierając postawę. — Odpowiadaj straszliwa kobieto!

Nazela rozśmiała się ironicznie.

— A jeżeli nie odpowiem na twe zapytanie?

— To jestem tutaj, aby pomścić krew mojego brata, — zawołał Gontran z ponurą stanowczością.

— Szaleńcze! — zaśmiała się szyderczo małżonka Defterdara. — Jedno poruszenie, jedno słowo, a jesteś zgubiony!

— Dobrze, — odpowiedział kapitan zimno, — ale zanim mnie dotkną twoi niewolnicy, to żelazo przebije twe okrutne serce.

Puginał błysnął w ręku kapitana.

— Przeciwko kobiecie! — rzekła Nazela z pogardliwym spokojem.

— Ty nie jesteś kobietą, — odrzekł młody oficer, — ty jesteś niebezpiecznem zwierzem krwiożerczem. Zresztą, choć jesteś kobietą, kiedy mordujesz mężczyzn, poniesiesz śmierć z ręki mężczyzny.

— Dosyć, — zawołała Nazela. — Oto moja odpowiedź: Doktór Monferand żyje, jest w Moristanie, gdzie go mój okrutny małżonek uwięzić kazał, i przysięgom wam, na duszę mojej matki, że będzie wkrótce uwolniony. Lecz pytam cię, czy chcesz pomścić twego przyjaciela?

— Po zemstę przyszedłem tutaj.

— Więc chodź za mną.

Brea udał się za tą zagodkową kobietą. Zdawało mu się, jakby ten głos już był słyszał kiedyś.

Stanęli oboje przed portyerą sypialni Defterdara.

— Patrz, — szepnęła Nazela odsuwając ostrożnie portyerę, — tego człowieka nienawidzę całą siłą mej duszy.

— Nienawidzisz pani swego męża? — powtórzył zdziwiony kapitan.

— Ten człowiek, ten okrutnik krwiożerczy, wydarł mi jedyną mą miłość, kazał oślepić ukochanego mi człowieka...

— Oślepić! — zawołał z przerażeniem Gontran. — I kogoż to?

— Monferanda, twego przyjaciela i brata, — szepnęła Nazela.

— Okropność, — zawołał Gontran ze łzą w oku. — O biedny, biedny Karolu!

— Utop puginał w sercu tego człowieka, a Monferand będzie pomszczony, — szepnęła Nazela kapitanowi na ucho.

Brea cofnął się z przerażeniem.

— On śpi, Gontran Brea nie morduje śpiących, — rzekł.

— Marzycielu! — rzekła księżna szyderczo. — Mówisz o zemście, a niemasz odwagi zabić śpiącego człowieka?

— Sen jest bezbronnym, a mordować bezbronnych jest podłością, — odpowiedział kapitan.

— Masz słuszność, — westchnęła księżna. — Lwie serca są wspaniałomyślne, a ty lwie masz serce. Ale aby pochwycić swą zdobycz, posiada lew także przebiegłość szakala. Czy tę przebiegłość posiadasz?

— Wystaw mnie pani na próbę.

— Mohamed-Bey, mój mołżonek, — mówiła Nazela z przyciskiem, — jest zdrajcą, stoi w zmowie z Turkami, aby zgubić baszę, ojca mego.

— Defterdar zdrajcą? — zawołał Brea w największem zadziwieniu, — jakież tego dowody?

— Leżą tu pod poduszką śpiącego papiery, — mówiła księżna, — które wczoraj dostał od tajemnego agenta tureckiego... Czy masz odwagę wydobyć je ztamtąd?

— Czy mi przysięgasz pani, że te papiery są dowodem zdrady Mohamed-Beya?

— Przysięgam, — odpowiedziała Nazela. — Jeżeli ci się to uda, zostaniesz Beyem i królewską otrzymasz nagrodę, na to daję ci słowo.

— A gdy te papiery będą w mojem ręku?—badał Gontran dalej.

— Wtenczas oddasz je mnie, a ten tu list zawieziesz baszy do Aleksandryi.

To mówiąc podała mu zapieczętowane pismo.

— To niepodobno! — zawołał oficer, — nie mogę się oddalić bez urlopu.

— Na moją odpowiedzialność! — odpowiedziała Nazela. — Ale jeszcze jedno! Czy wiesz kapitanie, kto tam na kobiercu u stóp Mohamed-Beya spoczywa?

— Zapewne jaki niewolnik ulubiony?

— Nie, Szeitan, jego tygrys ulubiony.

— Czy tylko to? — rzekł kapitan z uśmiechem.

— Szeitan jest czujny, strzeż się kapitanie.

— Czy pani lękasz się o mnie? — rzekł Gontran z lekkiem drżeniem w głosie.

— Prawie, — odpowiedziała narzeczona tygrysa, spuszczając głowę.

— Jest jeden środek dodania mi odwagi na wszystkie niebezpieczeństwa.

— Jakiż to?

— Pozwól mi spojrzeć w twe cudowne, piękne oblicze, będzie to dla mnie jak promień światła, olśniewający drogę wędrowca.

Nazela milczała.

— Pozwól mi przebłagać twą piękność za te straszliwe przesądy, które mnie w tej chwili wstydem przejmują, — błagał Gontran.

— Marzycielu, — szepnęła małżonka Mohamed-Beya, kładąc rączkę na jego czoło. Ta rączka pałała jak roztopiony kruszec, tak, że młodzieniec uczuł dotkliwy ból w sercu.

Wtem zasłona usunęła się, Gontran rzucił jedno spojrzenie na tę zachwycającą piękność, na te oczy jaśniejące jak dyamenty, na te usta z promienistym uśmiechem, i znów gęsta zasłona pokryła to cudowne widziadło.

— I znowu ciemno, — westchnął Gontran, — jakże trudno dla oka, które to cudowne ujrzało światło, przywyknąć znów do ciemności.

— Teraz do dzieła! — szepnęła Nazela.

(Dokończenie nastąpi.)

masz na to dowody, pomyśl tylko, jakby to było straszliwie, gdyby to była nieprawda.

— Moje chłopcy mają dobre uszy i pływają jak krokodyle, — zaśmiała się stara. — Dzisiaj w nocy podsłuchali rozmowę Defterdara z tajemnym agentem ze Stambułu.

Nazela podniosła się z siedzenia.

— Gdzie się odbyła ta rozmowa? — zapytała.

— W łodzi Nilowej, w zachodniej stronie wyspy Bulako. Wszystko było jakby umarłe na statku, wioślarze zasnęli, a w kajucie na dole siedział Defterdar z Turkiem, ale na wodzie przy otworach łodzi pływały dwa wielkie korbale, w których tkwiły głowy moich chłopców i tak hultaje podsłuchali.

— I cóż usłyszeli — pytała Nazela z gorączkowem zajęciem.

— Że Defterdar ofiarował podwójny haracz, że wojsko w stolicy jest jemu posłuszne, że czarownica z Damankuru namawia lud na jego stronę, zwłaszcza że basza ciągle w Aleksandryi przesiaduje.

— Ten zdrajca! — zawołała z oburzeniem Nazela. — Była chwila kiedym ostrzegała baszę przed tym wężem zdradliwym, szydził on wówczas z mojej przestrogi, a teraz!

— Chce ten wąż ugodzić w serce baszy, — dokończyła Hana, — a dowody na to istnieją.

— Gdzie, gdzie? — zawołała Nazela z zapałem.

— Pod poduszkami Defterdara, — szepnęła tajemniczo Hana. — Są to papiery, które mąż twój pani, dostał od Turków i strzeże ich jak oka w głowie.

— O rozkoszy! — zawołała narzeczona tygrysa, porywając się z miejsca. — Godzina zemsty wybiła! Hano, ty jesteś perłą drogocenną, nagrodzę cię także po królewsku! Ha tygrysie! rozigrałeś się niebezpiecznie! Biada ci, jeżeli się we własne złapiesz sidła! Wtenczas strzeż się Mohamed-Bey'u!

— Nie cieszmy się za wcześnie! — ostrzegała stara, — nie mamy jeszcze papierów w ręku.

— A czy niema twoich synów do tego?

— Nie liczcie w tym razie na nich, — odpowiedziała Nubijka, — oni nie boją się nikogo w świecie tylko Szeitana, wobec tego strasznego zwierza stają się lękliwymi tchórzami. To już leży we krwi! na to niema rady! Trzeba nam inne obmyślić środki.

Nazela zadumała się głęboko.

— Otóż mam kogoś! — zawołała nagle.

— Kogo? — zapytała Hana ciekawie.

— Który te drogocenne papiery wydrze ze szponów tygrysich — odpowiedziała młoda kobieta.

— A kto jest ten człowiek? — zapytała stara.

— To moja tajemnica — uśmiechnęła się Nazela.

— Zobaczymy — rzekła stara — ale jeszcze jedno mam do doniesienia, najlepsze na ostatku.

To mówiąc zbliżyła się do portyery i zawołała:

— No dzieci, teraz czas!

Synowie starej, dwaj silni, dorodni, o ciemnej cerze młodzieńcy, ukazali się niosąc na ramieniu skórzanny miech, który nie bardzo delikatnie rzucili na posadzkę, W miechu poruszyło się coś i zajękło.

— Co to jest, zawołała księżna z niezmiernem zadziwieniem.

— Ułowiona czarownica z Damankur, — zaśmiała się głośno Hana. — Wszak to piękna niespodzianka moja złota pani!

O czem narzeczona tygrysa z czarownicą z Damankur **mówiły, dowiemy się później.**

W godzinę potem napisała Nazela ową kartkę, którąśmy u Gontrama Brea na stoliku widzieli, z podpisem Tarabelli, którą Mahbub oddał w czasie jego nieobecności.

IX.

Ciemna noc. Mohamed-Bey wrócił późno do domu i zabiera się na spoczynek. Ale sen, ten anioł pociechy, dawno już przez zgryzoty sumienia spłoszony jest od łoża zdobywcy Dongola. Ten człowiek, który swemu masztalerzowi za niezręczne podkucie konia kazał rozpalone podkowy przybijać do pięt gwoździami, nie może zasypiać spokojnie, a gdyby zasnął, to skrwawione duchy pomordowanych w Szendi i Kordofanie niepokoiły by sen krwawego mściciela Izmaela Baszy... Jeżeli Defterdar chce zasnąć, to musi wpierw zażyć silnych, usypiających kropli morfiny; bo one tylko zdołają uśmierzyć na kilka godzin sępa rozdzierającego mu sumienie.

I teraz krople te posłużyły skutecznie, dzięki im Mohamed-Bey zasnął głęboko, u stóp jego łoża drzemie skulony w kłąb ogromny Szeitan. Lampa zakryta kosztowną ombrelką, bladawe roztacza światło; na ponurem obliczu śpiącego przesuwają się pomroczne cienia, przykrych snów oznaki!

Wtem ręka jakaś unosi ostrożnie portyerę, u drzwi prowadzących po tajemnych schodach do haremu, i postać kobieca wsuwa się cichutko do komnaty, słucha... fale rzeki rozbijają się z cichym szmerem o marmurowe wschody przy wejściu do pałacu, kobieta przemyka się spiesznie przez przedpokój ku jedwabnej portyerze, która sypialnią Defterdara osłania, podnosi ją z cicha i spoziera na śpiącego. Ten mruczy jakieś niezrozumiałe wyrazy i jęczy przez sen boleśnie. Słuchająca przelękniona przyciska kurczowo ręce do piersi. I znów panuje cisza tak głęboka, że nawet bicie serca kobiety rozróżnić można.

Nagle podnosi głowę do góry, niby pijąca gazela u źródła, gdy co zaszeleści wśród oczeretu; przez uchylone okno słychać cichy szelest wiosłami, słuchająca zbliża się do okna i wyziera przez nie ciekawie. Cień małej barki zarysował się na falach, teraz przybiła do brzegu, słychać chód na terasie i nagle zjawia się postać kobieca w masce i obszernym płaszczu. W oka mgnieniu słuchająca odsunęła rygiel od drzwi prowadzących na teras i zniknęła za portyerą we drzwiach przedpokoju.

W kilka chwil później słychać było szelest ręki dotykającej klamki od drzwi na terasę prowadzących i te otworzyły się po cichu.

Chwilę tylko wchodząca zdawała się namyślać, potem uniosła śmiało zasłonę od drzwi przedpokoju i krętych schodów, które spieszno przebiegła i stanęła u góry. Nur spał przy tajemnych drzwiach, szczęśliwym snem dziecięcym. Nieznajoma stała chwilę, niepewna dokąd się udać; przez oczne otwory w masce błyszczały ogniste oczy, we fałdach płaszcza świeciła się rękojeść puginału, już wyciągnęła rękę ku drzwiom, wtem wyrywa się stłumiony okrzyk z jej piersi, bo naraz sznur zacisnął jej gardło i dwie ciemne postacie chwytają ją w silne ramiona i unoszą przez drzwi haremowe.

Nazela oczekiwała ich w buduarze. Malek i Mahbub położyli schwytaną lekko na kobiercu i oddalili się w milczeniu. Księżna zdjęła szybko sznur z gardła nieznajomej, i głos cichy szepnął jej do ucha:

— Zawelonowana kobieta zna ciebie!

Nieznajoma podniosła się szybko ze ziemi.

— Czy ty jesteś sama Nazelą Khanum? — zapytała po cichu.

— Jestem.

Rocznik X

R

Pismo, poświęc
ceni

„Rodzina

„Rodzinę i Sz
c. k. Rada szkol
do wszystkich b
c. k. Rada szkol
do bibliotek nau
c. k. Rada szk
l. 2. 162 do bi
Rodzinę i Sz
nym na wyst
w roku 1907

„Rodzina i

Prenumerata „Rod
rocznie 4,50 Mk.
Zeszyt pojedyń
Prenume

Numera okazow

Administrac
ul. Szep

Prosimy ż
kładnie adres (imię
Roczniki z
„Rodziny i Szkoły“
oprawne 7 Mk. (bez